

W 500 letnią rocznicę pogromu Krzyżaków pod Grunwaldem

Hej rodacy z pod Giewontu, Beskidu i Pienin, oto zbliża się wielkie, narodowe święto, 500- tna rocznica pogromu Krzyżactwa pod Grunwaldem - oto Polska cała święci ten uroczysty dzień orężnego tryumfu, niechże nie braknie i Was braci z pod zboczy granitowych gór.

Od wieków gnębił nas i ciemniżył przemożny Niemiec, kradł zagon po zagonie, nastąpił na gardło słowiańskich plemion, wydarł naszym kniaziom i królom szmat najcudniejszej, nadwiślańskiej i nadodrzańskiej ziemi - a potem zagrabił królestwo nasze w niewolę, zhańbił nas i skrzywdził a dziś wydziera nam, jak przed wiekami, resztę ziemi, każe jak wędrownym cyganom mieszkać na wozach, pragnie wykraść z dusz najdroższy skarb narodu - piastowskie słowo i rodzinną mowę! Protestem przeciw temu bezprawiu, przeciw gwałtom, krzywdom i rozbojom, niech będzie tryumf całego narodu w rocznicę wiekopomnego boju, niech będzie krzyk ufności i wiary w życie, dobyty z serc i piersi milionów - z wnętrza szarych chat chłopskich: "nie dajmy się! - Wszak to wśród waszych szarych chat szukała ochrony św. Kinga i król Jan Kazimierz, wszak i synowie Giewontu, Beskidu i Pienin ginęli na polach Grochowa i błoniach Warszawy, wszak to chochołowscy chłopci wzniesli sztandar wolności na Podhalu, wszak oni to szli i ginęli chlubną śmiercią w 63 roku. Cześć pamięci zmarłych!

Z tryumfem narodu niech złączy się okrzyk z rodzinnych stron wielkiego wodza z pod Grunwaldu, Zyndrama z Maszkowic, niechże i rodzinna ziemia Bohatera weźmie udział w prawdziwym tryumfie. Wszak w bitwie tej brali udział pradziadowie nasi, wszak z naszych stron pochodził Mikołaj Zyndram, kasztelan krakowski, pan możny i dzielny, który w tym epokowym boju dowodził wojskami polskimi i jako jeden z najdzielniejszych, przyczynił się wybitnie do pogromu Krzyżactwa w tej chlubnej walce.

Któż więc byli Krzyżacy i czemuż dzień ich klęski napęłnia nas taką radością? Już od tysiąca lat dławili się ludy słowiańskie w ich żelaznej obręczy, walczyli z nimi Mieszko I, Bolesław Chrobry, Śmiały i Krzywousty, stoczono z nimi niejedną bitwę krwawą, dopóki Polska była silnym i jednolitym państwem, aż wreszcie nadeszły czasy podziału po śmierci Bolesława Krzywoustego. Krom walk z Niemcami, musiała rozdzielona i uszczuplona Polska prowadzić jeszcze krwawe boje z sąsiednimi, pogańskimi plemionami okólnymi, a to z Prusakami, Jadźwingami itd. Zwłaszcza dawała się krwawo we znaki potęga Prusaków, Mazowszu. Nieszczęśliwe Mazowsze było jednym z potężniejszych, drobnych księstw polskich, na które rozpadła się wielka niegdyś spuścizna Bolesława Chrobrego.

Książę ówczesny Mazowsza, Konrad nie mógł sprostać ich łupieżczym napadom i on to postanowił, za podszeptem nadwornych Niemców, sprowadzić zakon niemiecki Krzyżaków do Polski. Krzyżacy, był to zakon rycerski, mający niegdyś bronić Ziemi Świętej i pielgrzymów, tam się udających, przed naporem Turków. Rycerstwo jednak zachodnie nie sprostało swemu zadaniu, głównie z powodu niekarności i grób Chrystusa został w końcu zdobyty przez fanatycznych wyznawców Mahometa.

Gdy więc Krzyżacy, po ostatecznym pogromie, musieli Ziemię Świętą opuścić i szukali nowego jakiegoś pola do popisu, sprowadza ich książę Konrad Mazowiecki do Polski w r. 1228, by bronili granic jego księstwa przed pogańskimi Prusakami! Zarazem nadaje im

książę obszerne i urodzajne ziemie: Chełmińską i Nieszawską w używanie tymczasowe, w zamian za co, spodziewał się od nich pomocy i obrony. Niestety! "Przebrzydły zakon, podobny do smoka": jak mówi nam wielki poeta A. Mickiewicz, począł się rychło rozwieliżniać, paść się w skarby i bogactwa, ale na własną korzyść.

Wznosił kościoły, ale i kamienne twierdze, krzewił wiarę Chrystusową, ale ostrzem miecza, rósł w ziemie i powiaty, ale nie podbijał ich dla Konrada. Protesty Konrada nie pomagały - skargi, napomnienia i rozkazy przyjmowali Krzyżacy obojętnie, trzeba było rozprawić się z nimi poważnie o swą krzywdę, ale sił uszczuplonej Polsce nie stało. I oto nadeszły straszne czasy dla Prus, Żmudzi i Litwy, które nawracano teraz ostrzem miecza, prawem żelaznej pięści, a nie ewangelią Chrystusa.

Półtora wieku toczyły się krwawe zapasy między skazanymi niemal na śmierć szczepami, a potężnem Krzyżactwem, gromadzącem pod swoim hetmaństwem rycerstwo z całej Europy, około dwóch zaś wieków krzywdził zakon Polskę, rozpierając się czemraz szerzej na jej ziemiach, aż wreszcie wybiła na zegarze wieków, godzina pomsty. Znękana i skołatana Litwa schroniła się wreszcie na łono Polski, jej wielki książę Jagiełło został królem polskim, Litwa uwierzyła w boskie słowo Chrystusa, głoszone nie szczękiem oręży, ale ustami kapłanów polskich.

Zakon zachwiał się w postawach. Czemże by było to świetne rycerstwo, Zakon pasożyt, w chwili gdy Litwa przyjęła chrześcijaństwo? Zakon przecież z tą chwilą tracił urok żołnierstwa Chrystusowego, tracił prawo do bytu w dziejach, musiał oddać zagrabione ziemie, dane mu w czasowe posiadanie - tego Zakon przeboleć nie mógł. Nie mógł, bo już nie służył ewangelii Chrystusa, lecz swojej chwale i potędze i dlatego nie uznał chrztu Litwy, ale podniósł na nią zaborczy oręż!

Z drugiej strony znów krzywd było już nadto! Jeżeli rozdzielona Polska nie mogła się obronić przemocą łakomych rycerzy - mnichów, jeżeli Polska Władysława Łokietka i Kazimierza Wielkiego nie mogła im sprostać, to mogła się na to ważyć potęga zjednoczonej Polski i Litwy, w osobie królewskiej Jagiełły, silne i potężne państwo polsko - litewsko - ruskie. Krzywda Polski wezbrała już ponad brzegi. Zakon odepchnął ją od morza, zagrabił jej ziemie, wzrastał kosztem dziedzin Bolesława Chrobrego i jeszcze nieraz w dowód wdzięczności pustoszył jej własne ziemie: Wielkopolskę i Mazowsze. Ponadto rozpanoszony Zakon stawał zawsze po stronie jej wrogów, poprzek jej interesom żywotnym, paszczą wiecznie niesytą czyhał na jej zgubę.

Nie pomogło sto krwawych bitew, staczanych niemal codziennie, nie pomogło zwycięstwo Władysława Łokietka po Płowcach, musiało przyjść wreszcie do krwawej, stanowczej rozprawy. Gdy bowiem Jagiełło został królem polskim, krzywda Polski stawała się krzywdą Litwy, krzywda Litwy krzywdą Polski i oto, gdy te dwa zjednoczone narody stały się razem potęgą, musiał nadejść dzień i krwawej rozprawy, za dwa wieki krzywd, gwałtu i poniżenia.

To też stało się w dniu 15-go lipca 1410 r. Wtedy to przyszło do wielkopomnego boju, który tak świetnie opisał wielki nasz pisarz Sienkiewicz w swojej powieści "Krzyżacy": - Otóż opis tej bitwy przytoczymy w wyjątkach z dzieła tego wielkiego pisarza.

Bitwa miała lada chwilę rozciągnąć się i rozpalić na całej linii, więc polskie chorągwie poczęły śpiewać starą, bojową pieśń św. Wojciecha. Sto tysięcy, pokrytych żelazem, głów podniosło się ku niebu, a ze stu tysięcy piersi wyszedł jeden olbrzymi głos do grzmotu niebieskiego podobny:

"Bogurodzica, Dziewica
Bogiem sławiona Marya!
U twego syna, gospodzina
Matko zwolena, Maryja

Zyszczy nam - spusci nam!
Kiryjelejzon! "

I wraz moc wstąpiła w ich kości, a serca stały się na śmierć gotowe. Była zaś taka niezmierna, zwycięska siła w tych głosach i w tej pieśni, jakby naprawdę grzmoty poczęły się roztaczać po niebie. Zadrgały kopie w rękach rycerzy, zadrgały chorągwie i chorągiewki, zadrżało powietrze, zakolebały się gałęzie w borze, a zbudzone echa leśne jeły odzywać się w głębinach i wołać, jakby powtarzać jeziorom łąkom i całej ziemi, jak długa szeroka:

"Zyszczy nam - spuści nam!
Kiryjelejzon!
"

A oni śpiewali dalej:

"Twego dzieła krzyciela, bożycze
Usłysz głosy, napełń myśli człowiecze.
Słysz modlitwę, jąż nosimy,
A dać raczy, jegoż prosimy
A na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt
Kiryjelejzon! "

Echo powtórzyło w odpowiedzi "Kiryjelejzon!": A tymczasem na prawym skrzydle wrzała już bitwa zacięta i zbliżała się ku środkowi coraz bardziej, łoskot, kwiki koni, krzyki okropne mężów mieszały się z pieśnią. - Ale chwilami krzyki cichły, jakby tym tam ludziom zabrakło tchu i w jednej z takich przerw raz jeszcze można było usłyszeć grzmiące głosy:

"Adamie, ty Boży kmieciu
Ty siedzisz u Boga w wiecu.
Domieściż twe dzieci,
Gdzie króluj ą anieli!
Tam radość, tam miłość,
Tam widzenie Twórcy anielskie, bez końca
Kiryjelejzon! "

I znów runęło echo po borze: "Kiryjelejzooon!" Krzyki na prawym skrzydle wzmogły się jeszcze, lecz nikt nic wiedzieć ni rozeznąć nie mógł, co się tam dzieje, albowiem mistrz Ulrich, który patrzył z góry na bitwę, stoczył w tej chwili pod wodzą Lichtensteina dwadzieścia chorągwi na Polaków. A zaś do polskiego hufca "czelnego", w którym stali najprzedniejsi rycerze, przypadł jak grom Zyndram z Maszkowic i ukazawszy ostrzem zbliżającą się chmurę Niemców, zakrzyknął tak donośnie, że aż konie przysiadły w pierwszym szeregu na zadach:

W nich! Bij!

Więc rycerze pochyliwszy się na karki końskie i wyciągnąwszy przed się włócznie, ruszyli.

"Lecz zwycięstwo poczęło się chylić ku Niemcom..., już wszczynala się zamieszka w ławie polskiej, już rozszalałe w boju zastępy krzyżackie, poczęły jednym głosem opiewać pieśń tryumfu: "Christ ist erstanden!..."

A wtem stało się cos okropniejszego. Oto jeden, leżący na ziemi Krzyżak, rozpruł nożem brzuch konia, na którym siedział Marcin z Wrocimowic, trzymający wielką, święta dla

wszystkich wojsk, chorągiew krakowską z orłem w koronie. Rumak i jeździec zwalili się nagle, a wraz z nimi, zachwiała się i padła chorągiew. W jednej chwili setki żelaznych ramion wyciągnęło się po nią, a ze wszystkich piersi niemieckich wyrwał się ryk radości. Zdało im się, że to koniec, że strach i popłoch ogarnął teraz Polaków, że przychodzi czas klęsk, mordu i rzezi, że już uciekających tylko przyjdzie im ścigać i wycinać. Ale oto właśnie czekał ich straszny i krwawy zawód. Krzyknęły wprawdzie z rozpaczą, jak jeden mąż, wojska polskie, na widok upadającej chorągwi, lecz w tym krzyku i w tej rozpaczce był nie strach, ale wściekłość. Rzekłbyś, żywy ogień spadł na pancerze, rzucili się, jak lwy rozżarte ku miejscu, najstraszniejsi mężowie z obu armii i rzekłbyś, burza rozpętała się koło chorągwi.

Ludzie i konie zbili się w jeden wir potworny, a w tym wirze śmigły ramiona, szczękały miecze, warczały topory, zgrzytała stal o żelazo, łoskot, jęki, dziki wrzask wyżynanych mężów, zlały się w jeden przeokropny głos, taki, jakby potępieńcy oderwali się nagle a głębi piekła. Ustała kurzawa, a z niej wypadły tylko, ośleple z przerażenia, konie bez jeźdźców, z krwawymi oczyma i rozwianą, dziką grzywą. Lecz trwało to krótko. Niejeden Niemiec nie wyszedł żywy z tej burzy i po chwili powiała znów nad polskimi zastępami, odbita chorągiew. Wiatr poruszył ją, rozwinał i rozkwitła wspaniale, jak olbrzymi kwiat, jak znak nadziei i jako znak gniewu Bożego dla Niemców, a zwycięstwa dla polskich rycerzy.

Więc ciężki niepokój ogarnął serca przywódców krzyżackich, gdyż zrozumieli, że cały ich ratunek tylko w Mistrzu, który dotychczas w pogotowiu stał na czele szesnastu odwodowych chorągwi. On zaś, patrząc z góry na bitwę, zrozumiał także, że chwila nadeszła i ruszył swe żelazne hufce tak, jak wichur porusza ciężką, niosącą klęskę, chmurę gradową.

Lecz wcześniej jeszcze, przed trzecią linią polską, która dotąd nie brała udziału w boju, zjawił się na rozhukanym rumaku, czuwający nad wszystkim i baczny na przebieg bitwy Zyndram z Maszkowic. Stało tam wśród polskiej piechoty kilka rot zaciężnych Czechów, jedna z nich zachwiała się i jeszcze przed spotkaniem, ale zawstydzona, w porę została na miejscu i rzuciwszy swego dowódcę, płonęła teraz żądzą bitwy, aby wynagrodzić męstwem, chwilową słabość. Lecz główne siły polskie, złożone z konnych, ale nie pancernych, ubogich władków, z piechot wiejskich i najliczniejszych kmiecych, zbrojnych w rohatyny, ciężkie oszczepy i kosy, osadzone sztorcem na dragach.

Gotuj się! Gotuj - wołał ogromnym głosem Zyndram z Maszkowic, przelatując jak błyskawica wzdłuż szeregów.

- Gotuj! - powtórzyli mniejsi przywódcy, więc kmiecie zrozumiałwszy, że przychodzi na nich czas, poopierali drągi od dzid, cepów i kos o ziemię i przeżegnawszy się krzyżem świętym poczęli poplukać w pracowite, ogromne dłonie.

I dało się słyszeć przez całą linię to złowrogie poplukiwanie, poczem chwycił każdy broń i nabrał tchu. W tej chwili przyleciał do Zyndrama pachołek z rozkazem od króla i szepnął mu coś głosem do ucha, a on zwróciwszy się do piechurów, machnął mieczem i zakrzyknął:

Naprzód! Naprzód! Ławą! Równo! - rozległy się wołania przywódców: Bywaj! Na psubraty! W nich! - ruszyli.

By zaś iść krokiem równym i nie łamać szeregów, poczęli wszyscy razem powtarzać: Zdro - waś - Ma - ry - ja - ła - skiś - peł - na Pan - z - To - ba!!!

I szli jak powódź. Szły pułki najemne i pachołkowie miejscy, kmiecie z Małopolski i Wielkopolski i Ślązacy, którzy przed wojną schronili się do królestwa i Mazury z pod Ełku, którzy od Krzyżaków uciekli. Zajaśniało i rozbiły się od grotów na oszczepach i od kos, całe pole.

Aż doszli.

Bij! - zakrzyknęli dowódcy.
Uh!

I stęknął każdy, jako krzepki drwal, gdy się pierwszy raz toporem zamachnie, a potem jął walić, ile mu sił i pary w piersiach starczyło. Wrzaski i krzyki wzbiły się, aż pod niebiosa.

Bitwa zmieniała się w rzeź i pościg, kto nie chciał się poddać, zginął. Wiele bywało w onych czasach bitew i spotkań, ale nikt z żywych ludzi nie pamiętał tak strasznego pogromu. Padł pod stopami wielkiego króla, nie tylko Zakon krzyżacki, ale i całe Niemcy, które najświetniejszym rycerstwem wspomagały oną " przednią straż teutońską": wżerając się coraz głębiej w ciało słowiańskie.

Z siedmuset białych płaszczów, przodujących jako wodzowie tej germańskiej powodzi, zostało ledwie piętnastu. Czterdzieści przeszło tysięcy ciał leżało w wiekuistym śnie, na onem krwawym boisku.

Rozliczne chorągwie, które w południe jeszcze powiewały nad niezmiernem wojskiem krzyżackim, wpadły wszystkie w krwawe i zwyciężkie ręce Polaków. Nie ostała, nie ocalała się ani jedna i oto rzucali ją teraz polscy i litewscy rycerze pod nogi Jagiełły, który wznosząc pobożnie oczy ku niebu, powtarzał wzruszonym głosem: "Bóg tak chciał":

Stawiano też przed majestatem Pana przedniejszych jeńców, Abdank Skarbek z Gór przywiódł Szczecińskiego księcia Kazimierza, Trocnowski, rycerz czeski, księcia na Oleśnicy Konrada, a Przedpełko Kropidłowski, herbu Dryj a, mdlejącego z ran Jerzego Gersdorfa, który pod chorągwią św. Jerzego wszystkim gościom rycerskim przewodził.

Dwadzieścia dwa narody uczestniczyły w tej walce Zakonu przeciwko Polakom, teraz pisarze królewscy spisywali jeńców, którzy klękając przed majestatem, błagali o miłosierdzie i o powrót za okupem do domu.

Cała armia krzyżacka przestała istnieć. Pogoń polska zdobyła ogromny obóz krzyżacki, a w nim, prócz niedobitków, niepoliconą ilość wozów, wyładowanych pętami na Polaków i winem przygotowanym na wielką ucztę po zwycięstwie!

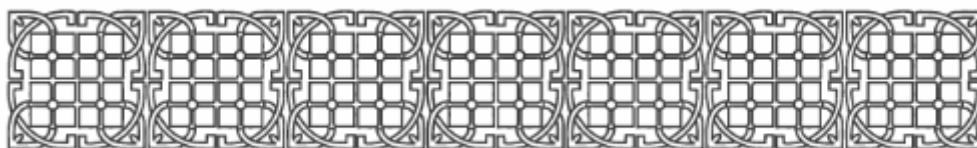
I nie tylko przeniewieńczy Zakon krzyżacki leżał oto pokotem u stóp króla, ale cała potęga niemiecka, zalewająca dotychczas, jak fala nieszczęsne krainy słowiańskie, rozbiła się w tym dniu odkupienia o piersi polskie. Więc Tobie wielka, święta przeszłości i Tobie krwi ofiarnej, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy.

Cześć więc krwi ofiarnej bohaterów i cześć wielkiemu wodzowi z pod Grunwaldu, Mikołajowi Zyndramowi z Maszkowic, wodzowi władków i kmieciów polskich! - cześć, bo oto dziś nieszczęśliwsi niż kiedykolwiek, pragniemy otuchy i pocieszenia, by trwać, by żywić ducha i serce, by nie upaść pod brzemieniem nieszczęść i przemocy. A przede wszystkim Wy, synowie kmieci z pod Grunwaldu, stawajcie w potężne hufy, w jeden zastęp ogromny, a nie dajcie się i nie zginiemy! Nie zatracajcie precudnych waszych strojów i gwary ludowej, nie zatracajcie duszy bohaterskiej, wielkiej, nie zatracajcie wiary i prostoty, ale dźwierzcie się górnych haseł i górnych sztandarów. Uczcie wy matki górskie, dzieci swe kochać rodzinny zagon i ziemię, uczcie je boskich słów modlitwy w ojczystym języku, jak matki poznańskie, a gdzie trzeba, to stań Ludu polski, jak lwy na wyłomach i czyni!...

Bo wiedz, że przyjdzie czas, a z każdego ziarna twych rąk, zrodzi się pełny, złoty kłos, przyjdzie czas i dzień słoneczny żniwa, ale trzeba ciężkiej, długiej i ofiarnej pracy, przyjdzie czas i przyjść musi, a zej dzie i Wam Bracia Rolnicy, jutrzienka swobody, a z nią zbawienia słońce!

Do pracy więc ludu, do pracy, to jedna godna odpowiedź niewoli - protest czynu!





Z rodzinnych stron Zyndrama z Maszkowic

Opis okolic, z których pochodził wielki wódz z pod Grunwaldu, Zyndram z Maszkowic.

Rozpocznijmy od Starego Sącza. Miasto to, sięgające początkiem zamierzchłej przeszłości, rozłożyło się na wzgórzu. Królują nad niem rozmiarami: stara fara z r. 1200 i kilkadziesiąt lat zaledwie od niej młodszy klasztor św. Kingi. Wąską i niemal bezludną ulicą zbliżamy się do fary.

- Obok niej wznosi się, przed laty 35-ciu parterowa, a dziś już piętrowa szkoła, w której zacni nauczyciele, jak Sadłowski, Mościcki, Reinfus, Migdał i Chmura wychowali całe zastępy młodzieży, garnące się później do gimnazjum w Nowym Sączu.

Tu także uczęszczali do klasy 3 i 4-ej wszyscy chłopcy parafii łąckiej, chcący iść dalej, do gimnazjum w Nowym Sączu.

Mieszczanie ówczśni, to lud spokojny, pracowity i serdeczny, a przytem na wskroś religijny.

Strojem starszych, w porze letniej, był szary, długi surdut niemieckiego kroju, - polskie buty, kapelusz lub kaszkiet, mężatki zaś stroiły się w czepce krakowskie, wolne aksamitne kaftaniki, duże a drogie korale.

Męska młodzież rzemieślnicza ubierała się w granatowe czamary.

Mieszczanie odwiecznie zajmowali się rzemiosłem, jak garncarstwem, szewstwem, rymarstwem, powroźnictwem, garbarstwem i piekarstwem, prócz tego stale rolnictwem.

Niedziele i święta spędzali na nabożeństwach w farze i klasztorze, przyczem najbardziej lubili nieszpory i polskie psalmy Kochanowskiego, na które gromadzili się licznie. Śpiewali na przemian po zwrotce mężczyźni i kobiety. Po nieszporach wyruszali wszyscy na rynek, gdzie zasiadali ławy na szerokich podsieniach, młodzież zaś przechadzała się zwartymi szeregami po rynku i wtedy miasto przybierało nastrój uroczysty, było gwarne i rojne. W dzień zwykły było inaczej. Mieszczanie zajęci byli szarą, codzienną pracą i miasto wymierało.

Chętnie oddawali oni synów do szkół, ich marzeniem zaś było, by dziecko wyszło na księdza. Bez liku też zawsze bywało tu niegdyś prymicyj. Gdy któryś syn nie chciał iść na teologię, mawiano o nim, że się "zepśnił":

Ruch umysłowy był tu bardzo mały, codzienną lekturę stanowiła książeczka do nabożeństwa, czasem kalendarz, stale sennik egipski. Mieszczaństwo, mimo tego, było dumne ze swego pochodzenia i rzemiosła i z wysokości tej "arystokratycznej" pogardy, patrzyło na garstkę ówczesnej inteligencji, zwąc ją ciarachami.

Przecudny w tem starem mieście jest klasztor św. Kingi. Stary kościół tonie niemal w otaczających go, piętrowych budynkach. Wewnątrz utrzymany jest czysto, pięknie i schludnie. Jest tu tablica pamiątkowa królowej Jadwigi, żony Łokietka, w języku polskim. Tu przepędziła żywot św. Kinga, która choć Węgierka, modliła się tu ze swymi siostrami po polsku. Ona to zapisała wszystkie, później wymienione wsie, na rzecz klasztoru.

Tu gromadziło się do niedawna Mieszczanstwo, śpiewając rzewne, polskie psalmy Kochanowskiego. Koło roku 1893 psalmy te usunięto z kościoła farnego i klasztornego i wprowadzono nieszpory w języku łacińskim. Mieszczanstwo, które ukochało polskie psalmy, usunęło się powoli od łacińskiego nabożeństwa i oba kościoły świecą pustkami. Gdym przed kilku laty zwiedzał klasztor starosądecki, trafiłem właśnie na łacińskie nieszpory i nie chciałem wierzyć, że ten przepehiony niegdyś klasztor, był pusty. Przy ołtarzu klęczał ksiądz z chłopakiem, a na chórze mozolnie wyśpiewywał samiuteńki organista, łacinę, jedna żebraczka pod chórem modliła się na koronce. Gdy po nieszporach zapytałem kościelnego, dlaczego tak mało ludzi, odpowiedział mi sam, że łaciną wypędzono ludzi z kościoła, a gdym wspomniał, czyby nie lepiej było wprowadzić nieszpory polskie, kościelny zamilkł i odszedł.

Dziwna rzecz, że miasto tak rzemieślnicze, nie wytworzyło dotąd przemysłu fabrycznego, a jeszcze dziwniejsze, że wielu, którzy po skończeniu niższego gimnazjum, wrócili tu do domu i objęli pracownie po rodzicach, nic dla rozbudzenia przemysłu nie zrobili, przeciwnie, pozbyli nieraz za bezcen warsztaty ojcowskie, zadawalniając się próżniaczem stanowiskiem urzędniczym w banku lub magistracie. Smutniejszym jest jeszcze, że wielu rzemieślników porzuca swe warsztaty w lecie, kupuje "landarę", konie i przewozi gości do Szczawnicy.

W ten sposób tutejszy mieszczanin miewa trojakie najmniej zajęcie.

Na wiosnę jest rolnikiem, w lecie dorożkarzem, w zimie i w wolnych chwilach dopiero rzemieślnikiem. Nic też dziwnego, że więcej myślący, oszczędni i pracowici Żydzi mają tu szerokie pole do popisu. To też rozrodzili się i rozgościli szeroko. Kiedyś było ich tu trzy rodziny, dziś nabyli większą część domów w rynku, wkrótce posiedzą całe miasto.

W ostatnich czasach wzmogła się tu liczba urzędników, osiadło kilku adwokatów, założono seminarium nauczycielskie i to wpłynęło bardzo dodatnio na rozwój umysłowy mieszczan. Towarzystwo Szkoły Ludowej pracuje tu z zapałem. W ostatnich czasach założono tu księgarnię p. Jakubowskiej, zbudowano piękny "Sokół" itd. W Starym Sączu żył długie lata autor "Sądeckczyzny i Arjan Polskich" - Szczęsny Morawski. Tu napisał wiele dla ukochanej Sądeckczyzny i tu zmarł 10 kwietnia 1908.

Drogą do rynku skręcamy na zachód, w dolinę bystrego Dunajca i stąd roztacza się przed nami przepyszny widok na Krępaki i Litacz. O kilka kilometrów w dali widzimy już starożytny kościół i osadę w Podegrodziu. Kościół ten, to naj starszy kościół w ziemi sądeckiej, wystawiony jeszcze w 1014 r., bogato wyposażony. Wieś to starożytna, bo już za czasów Bolesława Wstydlwego istniała i wliczono ją wtedy w poczet dóbr klasztornych. Archiwum tego kościoła mieści w sobie wiele aktów ariańskich, z których Szczęsny Morawski czerpał materiały do swojej pracy o "Arjanach."

Chłop w chłopu tu rośli i silny, jak dąb, to też nie dziw, że w czasie najazdu Szwedów pod pułkownikiem Forgwellem (13.12.1655) przybyli Podegrodzianie na pomoc miastu, poczem pobiwszy wraz z innymi najeźdźnika, wrócili do swej wsi. Sama nazwa wskazuje, że było tu grodzisko pod grodem St. Sącza, które miało za zadanie, strzec przed napadem wroga. Dziś zawiązał się tu, jak i gdzie indziej w Galicyi pierwszy teatr ludowy w Sądeczyźnie, założony pracą i zasługą profesora tamtejszego, Zygmunta Brandysa. Lud zajmuje się żywo teatrem, utrzymując przez to czarowną pieśń ludową i podania, ową "arkę przymierza między starymi a nowymi laty" i miast błąkać się po karczmach, spędza mile i przyjemnie czas na grywaniu sztuk i sztuczek ludowych. Teatr ten zjeżdża często do Nowego Sącza zjednywając sobie serca i uznanie. Oby przykład ten znalazł naśladowanie wszędzie!

Dokoła wsi szumią siwe fale Dunajca, wijąc się kręto wśród urodzajnych, słonecznych niw. Temi to równinami miał się przekradać, jak lis cichaczem, Ścibor, po bitwie pod Grunwaldem, ominąwszy grodzisko ziemne, między Obidzą a Brzyną.

Ów bowiem, wiedząc, że król Jagiełło i wszystkie wojska zajęte są układami, z co dopiero pobitymi Krzyżakami, napadł na Stary Sącz na czele swych opryszków, łupiąc miasto i pałac. Pobity jednak, umknął na Węgry, jako poplecznik cesarza Zygmunta.

Po lewej stronie gościńca wznosi się czarna ściana lasu świerkowego, jest to młody las "kameralny": założony na miejscu dawnego lasu królewskiego, złożonego z cisów, dębów i jaworów. Wśród tej panoramy rozciąga się wieś Mostki, dalej zaś spotykamy wieś Gołkowice, budowaną na sposób niemiecki, domy tu murowane, stoją rzędem obok siebie. Za karczmą w prawo, spotykamy znów duży, drewniany, dachem kryty, most na Dunajcu, którego fale grają nam całą drogę, uderzając srebrną pianą w przydrożne brzegi.

Po drugiej stronie mostu na wzgórzu, tuż nad drogę wznoszą się na górze zwanej "Glinka": ruiny "Sądeckiego grodu": Samo grodzisko zajmuje przestrzeń przeszło 3-morgową. Od zachodu, gdzie przystęp był najłatwiejszym, bronił grodziska podwójny wał, kończący się z jednej strony urwiskiem, z drugiej był broniony kopcem, na którym mogła się wznosić strażnicza wieża.

Na najwznioślejszej części wzgórza południowo - wschodniej, jest trójkątna wyniosłość, gdzie prawdopodobnie wznosiła się główna strażnica, czuwająca nad bezpieczeństwem całego grodziska. Wyniosłość ta, zajmująca prawie 30 sążni kwadratowych, stanowi główną twierdzę grodzką. Twierdza ta przytykając do potężnego wału głównego, otoczona ścianami, do ośmiu sążni wysokimi, nie łatwą była do zdobycia. Nie daleko stąd, na prawo, w dolinie rzeczki Słomki, rozciąga się urocza wioska Świdnik, tam w parku p. Waltera znajduje się po dziś dzień kaplica, zbudowana przez Marcina Rogowskiego w r. 1620, mieszcząca w sobie groby Arjan. Pan Walter otacza opieką tę historyczną pamiątkę, co należy podnieść z uznaniem.

Powyżej stąd znajduje się wioska Łukowica, niegdyś własność Arianek Doroty Gabłońskiej, a około 2 km wyżej wieś Przyszowa, w której Arianie: Krzesze, Podowscy i Wierzbiet, utrzymywali drukarnie.

Droga dalej, w górę Dunajca wiedzie wśród nagich, kamienistych wierchów, okrytych gdzieniegdzie jeno karłowatą i rozkustraną sosną, która tu, jak pustelnik, czeka nieraz kropli dżdżu, w rozpalonych słońcem kamieniach. Stąd już widać szeroką równinę, na której rozsiadła się wieś Kadcza, a dalej fabryczne, a przecież urocze Jazowsko. Wieś to już stara, skoro wspomina ją już Długosz (Liber benef.) mówiąc tu o kościele drewnianym Narodzenia Najświętszej Panny. Na tym miejscu wznosi się dziś kościół murowany, wystawiony staraniem księży Owsianków, rodaków tej wsi, około roku 1700. Jest tu szkoła parafialna i szpital, założone i uposażone wieczyście przez dawniejszych dziedziców Wyszkowskich.

Tu, na szczycie góry zwanej Skałka, wysokiej 1168m, gdzie schodzą się lasy jazowskie, szczawnickie i starsądeckie, jest jaskinia, w której ukrywali się dawniej rozbójnicy, siejąc postrach na całe Podgórze i przyległą okolicę Spiża, bardzo blisko stąd położonego. Najsławniejszy z tych wszystkich zbójów, to ich przywódca Józef Baczyński, stracony wraz z trzema innymi zbójami w Krakowie, w roku 1735. Podhetmaniego jego Łazarczyka z Tylmanowej stracono w rok potem z sześcioma towarzyszami w Lewoczy na Węgrzech.

Lecz i potem, a nawet w pierwszych dziesiątkach tego wieku, wydarzały się w tej lesistej okolicy częste rozboje, napadano jednak tylko przeważnie na samotnie mieszkających, bogatych Żydów i chłopów.

Nazwa Jazowska ma pochodzić od wielkiego jazu, zamykającego całą szerokość Dunajca, od brzegu do brzegu, założonego tu w bardzo dawnych czasach, dla połowu łososi, ciągnących na tarło w górę rzeki, wielokrotnie przez rzekę niszczonego i napowrót potem, z wielkim trudem, odbudowywanego.

Ów jaz istniał jeszcze z początkiem ubiegłego stulecia, przynosił jednak więcej szkody, przez zatapianie i obrywanie pól, niż pożytku z połowu ryb.

Jazowsko było w XV wieku dziedzictwem Wierników z Gabonia, w XVII i z początkiem XVIII w. w rękach ks. Lubomirskich. Od roku 1700 - 1716 przechodzą tędy na Spiż i napowrót wojska koronne, ruskie, szwedzkie i rosyjskie, które dwór i wieś niesłychanie zniszczyły, przedewszystkiem zaś wiele ucierpiał dwór, od chorągwi ks. Teodora Lubomirskiego. W 1717 r. ks. Aleksander, Dominik Lubomirski oddaje Jazowsko, porucznikowi swojej chorągwi, sędziemu wojskowemu, Piotrowi Lubomirskiemu w zastaw za 40.000 złp. i 20 gr, lecz sam nie mieszkał tu wcale.

Następnie, w spadku po Lubomirskich, objął państwo jazowskie ks. Paweł Sanguszko w 1719 r. W 1753r wraca napowrót w posiadanie ks. Lubomirskich, a mianowicie obejmuje je ks. Marcina, Lucya z Lubomirskich Jerzowa Tyszkiewiczowa, która zginęła z ręki własnego syna. Od niej w roku 1805 kupił te dobra starosta ropczycki Marceli Wyszkowski za 32000 złp., po jego zaś wnuku, Ludwiku, zmarłym bezpotomnie, nabył je w spadku Stanisław Filhauser, który w r. 1875 sprzedał je za 120 000 złr. terażniejszym właścicielom, Izraelitom: "Ader et Robinson"2.

Przed niewielu laty był to uroczy zakątek otoczony wiekowym, bukowym, dębowym i modrzewiowym lasem, - dziś - to gwarne miejsce fabryczne, gdzie tartaki wycinają stare drzewa i lasy i zatrudniają tysiące robotników - swojska ręka rodaka umiała ten skarb tylko rozrzucić i roztrwonić.

Dzisiejszy właściciel wyciągnął z niego już dziesięciokrotnie cenę kupna! Tak giną słuchy o wielkiej naszej przeszłości, giną nasze olbrzymie magnackie fortuny..! i jakże nie pisać gryzącej satyry! Lud tu jest uprzejmy i bardzo urodziwy. Kto przyjrzał się temu ludowi, o pięknej, oliwnej cerze, wyniosłej kibici i regularnych rysach, w kościele jazowskim, ten nie prędko go zapomnie. Strój ich przypomina strój krakowski. Fabryki mebli i tartaki w Jazowsku dają utrzymanie kilkuset tutejszym robotnikom, dla których właściciel Ader pobrał piękne domki mieszkalne. Majątek jazowski w rękach dzisiejszych to dobry i godny naśladowania przykład, jak należy pracować, by wzbogacić siebie i robotników, a zarazem przykra satyra dla tych panów polskich, którzy nie umiejąc pracować, sprzedają za bezcen pańskie fortuny, nieraz w obce ręce.

Droga nasza, wiodąca teraz między dwoma parkami, skręca na północ niemal pod kątem prostym, potem na zachód, a od cmentarza zjeżdżamy w dolinę na osadę Rybaki! Stąd na prawo szedł kiedyś, przed 25 laty, górami gościniec na tak zwane Oblazy, droga przez tą nader stromą górę, była jednak nader przykra i nieraz do wyciągnięcia na nią wozu pocztowego - musiano, prócz koni, zaprzęgać parę wołów.

W ostatnich czasach wykopano dla Dunajca koryto, obok przeciwległej góry, a nową drogę puszczono starem łożyskiem rzeki i ocieniono ją lipami, świerkami i akacjami i ta piękna aleja prowadzi nas dziś do osady Rybaki w Maszkowicach.- Stąd na lewo, na górę za Dunajcem, widać dwa potężne buki, widoczne parę mil w okolicy. Panorama górzysta na lewo nad Dunajcem przecudna! - Ciągną się bowiem stąd dziesiątki łańcuchów podgórszych, mniejszych i wyższych, wyrastają jedne z drugich, krzyżują się, płaczą i rozbiegają, aż wreszcie wiążą częściowo swe wierzchołki, tworząc płaskowzgórze, wzniesione do wysokości 649 m, które znów dalej na południe, daje podstawę nowym i już wyższym czołom Pienin i Beskidu i wreszcie Tatr. Niższe stoki tych pogórzy okrywają dość urodzajne pola, poprzerzynane skalistymi wyłomami, do których gdzieś tam, jak gniazda jaskółcze do poddasza, przyczepiły się drobne chatki.

Środkowe stoki tych pogórzy przyodziały pastwiska, poprzerzynane smugami lasów. Całość malownicza, prześliczna! Podobny widok roztacza się i po drugiej stronie drogi, - jeno, że tu cisza, bo nie grają bystre i siwe fale Dunajca. Harmonijnie w półkole, po pod pogórzami wygięta dolna płaszczyna świadczy, że właśnie tędy szły ongiś jego wody. Dziś osierocił Dunajec to pogórze i popłynął precz, gdzie skierowała go wola i ludzka ręka. W tem też uroczem miejscu mamy "ślabant", naszą boską rogatkę, góral się drapie w głowę i krzyczy

"sturbowany" co "trza" płacić "myto": Błogosławioną jest ta kraina w "myta": co krok niemal koń uderza w "ślabant" i ani rusz dalej, dopóki Żydek, arendarz nie odbierze swego.

Po prawej stronie drogi widać duży kompleks sadów, to wieś Maszkowice, kolebka Zyndrama. W pierwszym sadzie przydrożnym, widzimy zwyczajem naszego ludu, zbudowany wielki krzyż kamienny z napisem "Marcin i Rozalia Zbożniowie na cześć i chwałę Boga" Za sadem stajemy na mostku, przy małej, drewnianej karczmie, obok niej prowadzi droga do wsi, - i tedy zajeżdżamy na obszerne podwórze Marcina Zbożnia. Typowy to domek, zbudowany na modę dworku starszylacheckiego, z gankiem na słupach, ozdobiony po staropolsku obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej i okolony zielenią winnej latorośli. Obszerne stodoły i stajnie kryte dachówką, wskazują na dobrobyt i zamożność - wszystko jak w Panu Tadeuszu - brak jeno pagórka i topól.

Tak samo znać tu ład i porządek i tak samo uprzejmie zaprosi gospodarz Marcin przybysza z daleka pod swoją strzechę. Brat zaś naszego gospodarza, Wojciech, osiemdziesięcioletni starowina, a krzepki jak smrek i mający czuprynę czarną jeszcze jak kruk, zaprowadzi gości na górę Zyndrama. Ciekawi to ludzie, tacy Wojtki, których ani lata, ani ciężka praca zmódz nie może, istni ludzie z krzemienia.



Marcin Zbożeń i jego dom

Droga na górę Zyndrama prowadzi pośród pięknych sadów, obok malowniczych domków.

Tu oto "wedle" drogi rozsiadły się chałupy Jarków, Potońców, Pasiudów, Skutów, wszystkich odwiecznych "gazdów" i tubylców, aż wreszcie stajemy pod nędzną chatką "komornika", ostatnią pod górą... Stąd wspinamy się stromą ścieżką na wysokie wzgórze, któremu z dwu stron grają górskie potoczki i oto mamy zamczysko Zyndrama, zwane przez lud "grodziskiem".

Widok na góry okolne i sta szczytów okrytych bujną zielenią pyszny! Kiedyś huczało tu pewno życiem wielkiej przeszłości, której dziś ani "słyszeć": Cisza jeno panuje uroczysta na tem miejscu, gdzie niejednokrotnie słyszeć było szczęk oręży i wiwaty, wznoszone przy ucztach na cześć "Króla Jegomości": Najnieszczęśliwszy to z grodów pogranicznych, węgierskich, które broniły brzegów Dunajca i najmniej też z niego śladów zostało!



Lud Maszkowic na grodzisku

Niedzica i Czorsztyń sterczą jeszcze nad nurtami Dunajca, z świetności zaś grodu Zyndramowego nie masz niemal kruszyny. Niedzica ma jeszcze wiele komnat nietkniętych, świetlic starych, okazałych, posiada jeszcze bogatą zbrojownię i galerię obrazów, - swoje sławne biurko z 365 szufladami, dar któregoś papieża. Czorsztyń jeży jeszcze groźnie szkielet swych dawnych murów, przeży jeszcze resztę wysokich szkarp i gzymsów pałacowych, z Zyndramowego zaś grodu nie masz prawie szczątków. Szkielet tego olbrzyma, który na wysokości 400 m groził pogranicznym Węgrom, zniszczył ząb czasu, ale też i ludzie. Jak lilipuci rozdzielali oni cielsko starego olbrzyma, rozdrapywali wały i mury zamkowe i z tych kamieni i cegieł zbudowali wieżę kościoła w Łącku, spichlerze i stajnie i powznosili mury koło pól. Z ilości tych rozsypanych kamieni widać jeszcze, jak tęgim był i okazałym szkielet Zyndramowej kolebki.

Dziś gruz, rozsypany w koło zakrył resztę nierozzebranych fundamentów i murów, a przyroda okryła dawną wielkość i chwałę tych ruin, swoim królewskim płaszczem. Białe brzozy, zielska i trawy rozrosły się tu bogato i bywa tu nieraz cisza taka, jak w czasie podniesienia w wiejskim kościółku, przerywana jeno głosem dzwonek, pasących się tu owiec i piosnką pastuszej piszczałki, wygrywającej jakąś dziwnie rzewną, a piękną, swojską, ludową melodię.

Prócz wspomnianych ruin, została z Zyndramowego grodu jeszcze płaszczyna, na której wznosił się prastary zamek. Płaszczyzna ta w kształcie elipsy, ma 225 m obwodu. Ściany jej boczne spadają stromo w dół. Stromo spada ściana południowa, bo aż pod kątem 70°, północna i wschodnia są mniej strome. Wjazd do zamczyska prowadził widocznie od strony zachodniej, gdzie wyżyna Zyndramowego grodu łączy się z drugą, ciągnącą się gdzieś daleko...

Wyżyna od strony południowej jest niedostępna! U stóp wschodnich zamkowej góry płynie Biały Potok i łączy się tu z drugim, płynącym z Wolaków i z trzecim z Wieli. By sobie stworzyć obraz Zyndramowego grodu, trzeba sobie przypomnieć, że zamczysko to budował ten sam mistrz, który stawiał Czorsztyn i Niedzicę. - Gród Zyndramów był im współczesnym i zapewne niejedno z nimi wykazywał pokrewieństwo. Dziś niestety, trudno mówić o rzeczy, która nie istnieje, zwłaszcza, że trzeba by było dopiero odkopywać fundamenta.

Droga północna stąd prowadzi na wioskę Szczereż. Idziemy wciąż pod górę, ponad potok, obok gospodarstw zwanych „łazami”: należących do ról maszkowieckich i mamy tu np. łaz Marcina Zbożnia, Skuta, wreszcie łaz Jana Babika. - Stroma, uciążliwa droga wiedzie nas na wysokie płaskowzgórza do Szczereża, górskiej krainy kwiczołów. Kwiczoł to ptak towarzyski, przelatuje tu całymi stadami wiosną i jesienią. Malownicza ta wyżyna, okryta karłowatą brzozą i jałowcem, bywa przystankiem tych miłych ptasząt, które też wtedy łowią tu w wielkiej ilości. Sposób łowienia kwiczoła jest ciekawy. - Opodal samotnej sosny urządza ptasznik "gaj": wbijając pościnane krzaki jałowca w ziemię i tworzy w ten sposób rodzaj grzędy, pokrytej jałowcem. Z boku, otacza góral tę grzędę niewidzialną siecią i buduje obok z gałęzi np. świerkowych "jate": to jest budkę dla siebie, w której czyha na przylot kwiczołów. Gdy ptaszki obsiedą stadem sosnę, ptasznik wystawia z budy tyczkę, do której już przedtem przywiązał za ogon lub skrzydełka, żywego kwiczoła lub pokrewną ptaszynę "mlaskota": Poruszając tyczką zmusza chłop przywiązaną ptaszynę do żalosnego kwilenia i ta piszcząc i trzepocąc skrzydełkami, zwabia ptaszki z sosny na gaj. Gdy kwiczoły gaj obsiedą, wtedy ptasznik opiera nogi o pal wbity w jacie i całą siłą szarpie za sznur, łączący sieć, otaczającą gaj. - W jednej chwili pokrywa sieć cały gaj, a ptasznik wybiega z jaty i bez litości dusi biedne maleństwa, które potem Żydzi zasypują rynki miejskie. Wieś Szczereż zbudowana jest na dość obszernym płaskowzgórzu, wzniesionem 500m nad poziom morza, spadającym ku wschodowi. Wokół panorama górską prześliczna. Widać stąd bowiem na południowy zachód wspaniałe mury granitowych Tatr, odlanych jak by z jednej masy złodowaciętego błękitu, popstrzonych białymi smugami wiecznych śniegów.

Podziw jakiś i wzruszenie rozdziera pierś do dna, oko napatrzeć się im nie może, wspomina się nie jedna pieśń, słyszana w dzieciństwie:

"Janosik, Janosik
kaś podział pałasik"

Dokoła bliżej wznoszą się przepyszne kopuły i kopulice wzgórz, pokrytych rześistą zielenią.

To kopulice Beskidu, jest ich wiele, bez liku, jak kopców na cmentarzu. Wieś sama dobrze zabudowana, domy jasne, wysokie i czyste, kryte blachą lub dachówką, oddzielone od siebie ogrodami, każą wnosić o zamożności gospodarzy..

Lud uprzejmy, urodziwy, pracowity, hoży i czerstwy, jakiego nie masz w okolicy, zadziwia i zaciekawia. Ubiera się po krakowsku w długie, granatowe żupany, nabijane krajami

mosiężnymi guziczkami, żółtymi frędzlami, spodnie również granatowe, bogato wyszywane, buty krakowskie z podkówkami, a na głowie krakowska rogatka z pawim piórem, koszula wyszywana, lub haftowana z kokardą, przesyta srebrną lub złotą nitką - oto strój Szczereżanina. Piękniej jeszcze wygląda młody Szczereżanin, jako drużba!

Prawdopodobnie jest to więc osada krakowska. We wsi tej była osada niemiecka, złożona z czterech kolonij i czterech zagród, zwana "Ernstdorf": folwark Panien Klarysek stanowił tu tak zwany kwartał z gorzelnią, dziś z Niemców nie zostało ani śladu, kolonje się rozpadły, prócz jednej, na której siedzi Wojciech Rams. Zginęły i nazwiska niemieckie, oby tak było wszędzie. Tak to żywioł niemiecki, który w 13,14 i 15-ym wieku otwartymi wrotami szedł do Polski, został z tego zakątka na zawsze i bezpowrotnie wyparty. Przypadkiem trafiliśmy tu na posiedzenie rady gminnej, która właśnie uchwalała pozbycia się karczmy, od przyszedłego roku.

Zabiegi łackiego "kacyka": propinacyjnego Żyda i "boska" woń jego trunków, nie przemówiła widocznie do ambicji, ani serca Szczereżan, skoro jednogłośnie wykrzyknęli: "Precz z karczmą i z Żydem od nowego roku.

Jakiż to dzielny lud! - Brawo wam zacni Szczereżanie!

Z grona jego zacnych gospodarzy, wymienić należy Wojciecha Baziaka, wzorowego rolnika, posyłającego syna do szkół. Ze Szczereża rozszerza się przepyszny widok na dolinę Dunajca i na Nowy Sącz, oświetlony wieczornymi lampami/

Na północ od Szczereża, w dolinie rozłożyła się wioska Wolica. Niegdyś własność Stefana Wielogłowskiego, Arjanina, - dziś z dworu pozostały tylko ślady, a na gruntach tego "Brata polskiego": osiadł zacny i pracowity kmieć, Piotr Potoniec, najinteligentniejszy gospodarz z całej wsi. Mieszkanie jego - to prawdziwy typ dworku szlacheckiego. Już na pierwszy rzut oka, uderza tu schludność i czystość, tak rzadko spotykana u naszego ludu.

Potoniec uprawia "doświadczalne", z ramienia kółek rolniczych, plantacje malin, on pierwszy zaprowadził nieznane w tej okolicy drenowanie gruntów. On też odprowadza nas na górę Szczereż, skąd powracamy do Maszkowic, by ukończyć opis, przerwany wycieczką do Szczereża. Wieś Maszkowice rozłożyła się na południe od starego, Zyndramowego grodziska, pod jego uroczem wzgórzem i ma kształt prostokąta, opartego jednym bokiem o zamczysko, - drugim o gościniec. Domostwa tu piękne, na pół murowane, kryte przeważnie dachówką, umajone jabłoniemi i śliwami węgierskimi. Gleba z całej okolicy najurodzajniejsza, prócz pszenicy i żyta rodzi się obficie groch i bób, stąd przysłowie, że Maszkowianin tak z bobu dobrze wygląda. - Jest to pierwsza wieś w Galicyi, gdzie zaprowadzono tak zwaną "kommasację" gruntów.

Przeprowadza ją pan inżynier Edward Szayer, syn ogólnie znanego i lubianego mecenasa, dr. Szayera w Starym Sączu. Panu inżynierowi zawdzięczamy zdjęcie zamczyska Zyndrama i widoki z Maszkowic. Lud w Maszkowicach rosły, barczysty i silny, chłop w chłopa jak tur. Taki lud też, chyba miał na myśli poeta Goszczyński, pisząc w Sobótce:

"Nie kobieta ale skała
Zrodzić nam ciebie musiała".

Skory do pracy, ale nie leniwy i do wypitki, dumny z tego co ma, dowcipny, ochoczy w zabawie, grzeczny, nawet wtedy, gdy sobie podchmieli, w uczynkach nie zawsze "cnotliwy".



Młodzież w Maszkowicach

Górale są w ogóle pracowici, to też i nasi Maszkowianie uprawiają wcześniej na wiosnę rolę, by pośpieszyć innym z pomocą. Rodziny są bardzo liczne. - Mimo tego, lud jest zamożny, Maszkowiak córki wyposaża bogato i sprawia im huczne wesela, goszcząc nieraz przybyszów z okolicy i z inteligencji, po kilka dni. To też nie dziwota, że takie wesela kosztują nieraz do 1000 koron. Maszkowiak pije przy każdej sposobności, pije przy chrzcie, pije na zaręczynach, na weselu i na poprawinach, pije nawet za duszę nieboszczyka na pogrzebinach, pije przy każdej sprawie sądowej i uczcie rodzinnej, pije na targu i odpuszcie! To jest ta mniej piękną stroną nałogów tego, zresztą szlachetnego ludu.

Majątek przeciętnego gospodarza dochodzi do 30.000 koron, u bogatszych do podwójnej wartości, nie brak jednak i ubogich "chałupników", - zwłaszcza na Wyróbiskach, za Dunajcem. Do posług przy gospodarstwie domowym i rolnem, używają przeważnie własnych dzieci, do czego zmusza ich drożyzna służącego i ich wady, wynikające ze złe zrozumianej wolności i podszeptów socjalistów. Zdolniejszych chłopców posyłają czasem do szkół, uderza jednak, że z tej bogatej wsi zaledwie trzech synów włościańskich uczęszcza do szkół średnich i, że przeprowadzająca się z tak wielkim trudem i kosztami komasacja gruntów, będzie niedługo bezskuteczną, bo jeżeli włościanin swoim dzieciom nie da chleba z nauki lub rzemiosła, - to znów w niedalekiej przyszłości, te bogate role, na drobne części rozpaść się muszą. I znów staną Maszkowice nad Orkanowem "urwiskiem":



Józef Klimecki - Jasło

Wychodzimy ze wsi obok wspomnianej karczmy, która od wieków była w posiadaniu bogatego i poważanego rodu kmiecego, jednak obecny przedstawiciel tego rodu, nie będąc nawet w kłopotach pieniężnych, sprzedał tę karczmę za bezcen Żydowi, a sprawa ta tym boleśnieszka, że karczmę tę chciał kupić gospodarz Marcin Zbozeń i płacił nawet więcej jak Żyd. Smutne to, że i włościanie tak lekkomyślnie poczynają trwonić ojczyście mienie. Czółnem przejeżdżamy stąd na prawy brzeg Dunajca i wspinamy się następnie drogą leśną, stromą i przykrą, po godzinie stajemy na wierzchołku najwyższej góry nad Maszkowicami, u dwóch buków, widzianych już z Jazowska!

Stąd rozciąga się znów prześliczny widok na Tatry, Nowy Sącz i całą dolinę Łącka, Tylmanową, Lubań i Gorcz. Stąd widać osady chałupników, zwane

Wyrobiskami. Stąd też pochodzą ludzie, zadziwiający swoją energią, którzy własną pracą dorobili się stanowisk i słyną dziś z ducha obywatelskiego, jak p. Józef Klimecki, radca sądowy w Jasle. Z Maszkowic zaś pochodzą ks. Ludwik Babik, proboszcz w Kulikowiu, ks. Józef Jarek w Dźwiniaczu i dr. Marczak, sędzia w Chrzanowie. Józef Klimecki - Jasło Z poszczególnych gospodarzy wymienić należy zanego rolnika, Jana Farona, ozdobionego krzyżem zasługi, za szlachetny charakter i długoletnie, chlubne urzędowanie na stanowisku wójta, który również posyła syna do gimnazjum.

Wojciech Pasiud, słynie znów, jako pilny, pracowity i trzeźwy gospodarz, jest obecnie wójtem i on to przyczynił się, hojnym datkiem do wydania tej książki.

Jadąc od karczmy w górę, spotykamy piętrowy, biały spichlerz w ogrodzie i duży dom, wybudowany, jak dowodzi data na "stragarzu": w roku 1729, to najstarszy dom w tej wsi - Jana Babika. Za Długosza były Maszkowice własnością klasztoru starosądeckiego i miały siedemnaście łańów kmiecych, prócz roli dworskiej (praedium militare).

Później wieś podupadła i była uważaną za przysiółek Łącka. Po zajęciu dóbr klasztornych przez Józefa II -go r. 1782 została powiększoną przez kolonię niemiecka "Ernstdorf": - obecnie Szczereż, a następnie sprzedaną r. 1835 hrabiemu Drohojowskiemu, który znów majątek leśny sprzedał p. Aderowi w Jazowsku. Maszkowice liczą obecnie 900 mieszkańców. - Na ziemiach polskich znajdują się jeszcze drugie Maszkowice w powiecie Łęczyckim, należą do gminy Leśmierz. Te jednak nie są kolebką Zyndrama.

Droga do Łącka ciągnie się pośród urodzajnych pól, - na lewo, za Dunajcem widać łańcuch wzgórz, między którymi, najwyższe zowie się Złotne, dlatego, bo niegdyś właściciel Łącka Wydzga, koło roku 1251 miał tu kopać złoto i w wydrążonych tramach, spławiał je Dunajcem i Wisłą Krzyżakom. Mijamy potok Lichnię, uregulowany niedawno kosztem Wydziału Krajowego. Naprzeciw ujścia tego potoku do Dunajca, na wzgórzu za wodą w r. 1858 hr. Drohojowski, ówczesny właściciel Łącka, wykopał głęboki szyb i próbował dobywać rudę złotą, ale pracy tej, z braku kapitałów i ludzi zawodowych, zaniechano. Szyb ten z bocznymi korytarzami zwiedzał Wojciech Zbozeń, nasz przewodnik na Szczereż, z ks. Mikołajem Zabrzeskim z Cieszyna. Zaniechanie tych kopalń, dało powód do wieści między ludem, że Żydzi z Łącka wstrzymali tę kopalnię, bo gdyby ją dalej prowadzono, Żydzi w Łącku nie mogliby mieszkać.

Minąwszy Lichnię, jedziemy wsią, - rozłożoną na prawo, to dawny Wiesendorf, zwany przez lud wsią niemiecką, - a za staraniem ks. Pociłowskiego otrzymała ona nazwę Łączki. Były tu kolonje Lachnerów, Ungerów, Peterscheinów, Zahnów itp., ale wszyscy ci Niemcy, jako katolicy zlali się z ludnością tubylczą, wynarodowili się prawie zupełnie i dziś ich potomkowie nazwiska swego nawet wymówić nie umieją.



Dr. Chwalibóg, lekarz
w Łącku

Ostatni dom w niemieckiej wsi, to dawna leśniczówka hrabiego, - obecnie siedziba dr. Marjana Chwaliboga, lekarza okręgowego, który osiadł tu za staraniem burmistrza p. Pantaleona Lenartowicza, jako lekarz okręgowy w 1905 r. Z Łącka do Starego Sącza jest 17 km, tak samo daleko i do Krościenka, siedziby lekarza. Nic więc dziwnego, że cała ludność Łącka i okolicy powitała przybycie p. dr. Chwaliboga szczerą radością. Lekarz ten, człowiek pracowity i rozumny, wyrobił sobie wielkie zaufanie i praktykę, swą "szczęśliwą ręką" niezliczoną ilość chorych wydarł z objęcia śmierci, z ludem obchodzi się uprzejmie i życzliwie - nic więc dziwnego, że zyskał sobie serca ludu i że lud ten zaprasza go zawsze na gody i uroczystości rodzinne.

Środkiem Łącka płynie potok, zwany Czarny Potok, który

latem ledwie się sący po kamyczkach, a na wiosnę i w jesieni miewa swoje przykre kaprysy, sięga bowiem nieraz aż do chlewików sławetnych mieszczan i za-

biera im tuczne świnki. - Lament, jęk, płacz i rwetes, jaki się wtedy nad tą rzeczką wszczyna, nie da się opisać, Rozsiewa też ten potok choroby, jak tyfus, dyfterię, reumatyzm itd. - a biedna gmina nie jest w stanie zaradzić, usilne zaś starania dr. Chwaliboga u władz krajowych zostały, jak zwykle, bez skutku. Z rynku, przez ławę, idziemy w środek łąckiego grodu, około pięknej willi pana Lenartowicza, - który osiadłszy tu na emeryturze, jako komisarz skarbowy, obrany burmistrzem, pracuje chlubnie dla dobra ubogiego tego miasteczka. Ród Lenartowiczów, od wieków tu osiadły, wydał wielu szlachetnych i bogatych kupców.

Wspomnieć tu muszę o p. Romualdzie Lenartowiczu, którego dom w Warszawie przyjmował zawsze gościnnie swoich rodaków, a który obecnie osiadł w Makowie, gdzie zjednał sobie miłość i życzliwość, jako dobry obywatel, prezes "Sokoła": Idąc na północ widzimy po lewej ręce, - piękny, murowany domek z gankiem, otoczony sadem, własność to niegdyś śp. Frusińskiego, organisty i nauczyciela w Łącku. Domek ten dziś, własność żydowska, chociaż położony obok kościoła, winna zakupić parafia na ochronkę lub dom ludowy. Przed tym domkiem w r. 1898 padło dwóch synów chłopskich, pod ostrzem bagnatów, sięgając w czasie rozruchów, po mienie żydowskie. Tem stał się ten dom w dziejach Łącka pamiątkowym i historycznym!

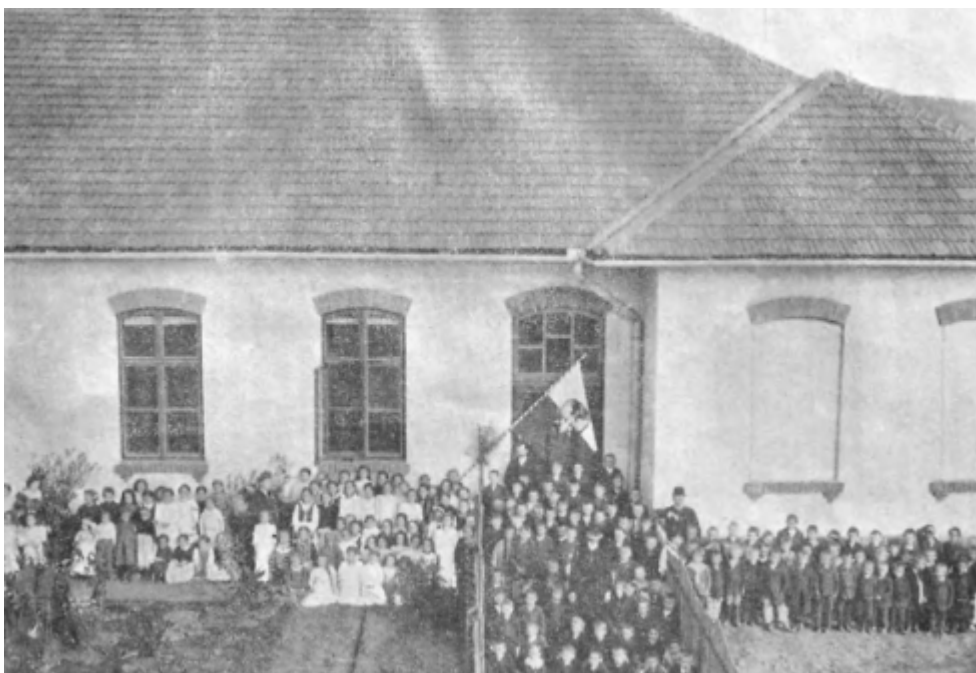
Stojący przed nami kościół, o budowie ciężkiej, ogromnych i grubych murach, pochodzić ma aż z roku 1327, lecz w każdym razie istniał on tu już wcześniej. Kościół ten, zbudowany częścią z kamienia, częścią z cegieł, w stylu romańskim, jak prawie wszystkie kościoły ówczesne. Okna małe, wyglądają raczej na strzelnice. Stojąca z przodu, ciężka, wysoka, czworogranna, czteropiętrowa wieża, również w stylu romańskim, jest zbudowana z kamienia. Na wieży tej, za staraniem burmistrza Lenartowicza, umieszczono w r. 1907 zegar. Kościół otaczają stare lipy i kasztany. Wnętrze jego tworzą trzy nawy, z tych dwie boczne. Ołtarz główny, w stylu romańskim, rzeźbiony i złożony, liczy aż czternastu "świętych": różnej wielkości i kroju. Ołtarz ten i starodawna chrzcielnica, odnowiona przed dziesięciu laty, zostają dziś pod opieką konserwatorów krakowskich. Wewnątrz panuje schludność i porządek. Wieżę kościoła zbudowano za czasów cesarza Józefa II, w zamian za oddane, sprowadzonym Niemcom, grunta kościelne. Na dowód tej szczególnej łaski, wisiał nad chórem, przez kilkadziesiąt lat, czarny orzeł au stryjacki i dopiero ks. Pociłowski, restaurując kościół, tego orła usunął. Zbudowano ją ze zamku Zyndramowego, by zniszczyć pamiątkę wielkiej przeszłości.



Za kościołem, na wzgórku jest cmentarz z kapliczką św. Anny, mieszczącej zwłoki ks. Pociłowskiego i jego poprzedników. Do okazalszych budynków należy szkoła ludowa, którą zbudowano razem z kościołem. Budynek ten był przeznaczony pierwotnie na przytulisko ubogich łąckich, potem zmieniono go na szkołę. - Obok niej zbudowano, w ostatnich latach, piękną, nową szkołę, malowaną wewnątrz pokostowymi farbami, otoczoną obszernym dziedzińcem, służącym dla zabawy dziatwy i założono przy szkole, pierwszą w okolicy, szkółkę drzewek owocowych, staraniem obecnego dyrektora szkoły, pana Stanisława Wilkowicza, człowieka pracy, wzorowego pedagoga i niezrównanego miłośnika sadów. W szkółce tej uczy się dziatwa sadownictwa i stąd rozchodzą się na całą okolicę najlepsze odmiany drzew owocowych.

W Łącku są dwa hotele, wyłącznie żydowskie. W śródmieściu, rynek z obszerną austerją, środkiem, którego płynie już wspomniany Czarny Potok, z rynku rozchodzą się wąskie, nie planowo zabudowane, uliczki. Domki, prócz nowo postawionych, są małe, gdzieniegdzie jeszcze bez kominów. Urzędów, prócz miejskiego, pocztowego, telegraficznego i telefonicznego, oraz posterunku żandarmerii, nie ma żadnego. Na roki sądowe zjeżdżają tu sędziowie ze Starego Sącza, wielkie jarmarki odbywają się tu, co trzeci czwartek, gdy będzie zbudowaną kolej, projektowana na rok 1915, - powstanie tu sąd powiatowy i starostwo.

Przyczyni się to do rozwoju i podniesienia tej miejsciny, - urzędnicy, którzy tu osiedlą, jak wszędzie, tak i w Łącku zechcą pracować na polu oświatowym, społecznym i narodowym i swemi datkami, utrzymywać, jak wszędzie, towarzystwa naukowe i dobroczynne.



Szkoła w Łącku

Z fabryk, istnieje tu gorzelnia, wyrabiająca "pejsaczną" śliwowicę. Łącko liczy dziś 300 domów, a mieszkańców do 2.000. Życie tu małe. Inteligencji tylko garstka, jeżeli się skupia, to chyba w kasynie, skleconym przez Żyda dla interesu. Ludność w połowie rolnicza i rzemieślnicza, nie brak tu chałupników i bezdomnych zarobników. Z wybitniejszych rzemieślników wymie- nić należy Michała Pyrdoła krawca, który swą pracą dostarczył już ubrań tysiącom młodzieży szkolnej, jest on krawcem miejscowego i okolicznego duchowieństwa i szlachty.

Historia Łącka od najdawniejszych czasów gubi się w pomroku. Wiemy, że przed 1251 r. było ono własnością Wydźgi herbu "Janina", który wyprawił się na wojnę krzyżową. Trudnił on się i górnictwem, a mianowicie dobywał tu złoto, które, jak już wspomnieliśmy spławiał do Gdańska. Wydźga był też panem Czorsztyna. W r. 1252 sprzedał Łącko klasztorowi Bożogrobców w Miechowie za 300 grzywien, którą to sprzedaż zatwierdził król Bolesław Wstydlivy w Bochni 11 grudnia 1251r. W sześć lat później, Łącko dostaje się do klucza dóbr św. Kingi, jako zastaw zapisany jej przez męża, za ofiarowane złoto i pieniądze, - na cele kraju i zaciągi wojska przeciw Tatarom. Po śmierci Kingi przechodzi Łącko na własność klasztoru w Starym Sączu. W 1579 r. dzierżawi Łącko Prokop Pieniążek, który jako

rotmistrz królewski, odznaczył się pod Gdańskiem, znów później, jako admirał floty maltańskiej, przeciw Turkom w Algierze i Tunisie.

W r. 1597 dzierżawi Łącko Sebastian Lubomirski, a dalej jego synowie. - Ostatnim był Stanisław, mający za żonę Zofię z Ostrogskich. Od r. 1629 dzierżawi Łącko Wespazjan Schlichting, który jako zdrajca w wojnie ze Szwedami, zostaje powieszony w r. 1657.

Następnie jego syn Jan, pogromca Szwedów.

Dalsze koleje Łącka były różne. Po kasacie dóbr klasztoru, w r. 1785 przeszło do majątku kameralnego, a później w r. 1835 nabył je hrabia Seweryn Drohojowski i sprzedał z czasem p. Michałowi Aderowi, robiąc na rzecz szkoły drobny zapis 22 kor. płatnych co roku przez gminę Łączki, na zakupno książek - dla ubogiej diatwy.

Od roku 1617 - 1622 wójtował tu szlachcic Jakób Gogolewski, około tego czasu miały tu być źródła mineralne, żelaziste, o których własnościach leczniczych pisał lekarz Petrycy, koło roku 1603. Dalej twierdzi Siarczyński, że w pobliżu drogi sączą się obficie oleje skalne, którymi ludzie smarowali wozy. Dziś tych źródeł nie spotykamy.

Haquet badał Łącko pod względem geologicznym i zastał gliniasty łupek, żelazo, margiel, łyszczyk, piaskowiec i lepiszcze iłu.

Lud łącki opisuje on, jako uderzająco brzydki, mały, niezgrabny, a przytem nadzwyczaj umysłowo nierozwinięty. Porównywa ten lud z kretynami w Szwajcarii i utrzymuje, że najmędrszy zaledwie do 10 policzyć umiał. Kretyn ten miał 3 stopy i 9 cali wysokości, czoło zakłęśłe i był niemową. Haquet utrzymuje, że ów kretyn musiał być wyjątkiem, a redakcja słownika geograficznego stwierdza, że dziś Łącku trudno by było znaleźć kretynów.

Niestety jest przeciwnie, gdyż dzięki pijaństwu i niechlujstwu, obarczaniu dzieci pracą od lat najmłodszych, kretynstwo dziś tu znów wzrasta i kretyn płodzi kretyna.

Podróżnemu możemy zalecić restaurację katolicką p. Grabcowej, gdyż lokal to czysty, świeży i nęcący, przekąski i potrawy dobre, smaczne i tanie, wino białe i czerwone naturalne, komu zależy na zdrowiu i kieszeni, może tu odważnie zajeżdżać.



ks. Tomasz Łączewski

Warta jeszcze wymienić tych ludzi którzy z tej miejsciny swą pracą i nauką wybili się na stanowiska, a to: Ludwik Paluch, radca sądu krajowego w Wadowicach, ksiądz Tomasz Łączewski, proboszcz i kanonik w Szczucinie, - Zaczny ten kapłan, urodzony w przysiółku Wolaki, już jako uczeń gimnazjalny, dawał liczne dowody szczerości i koleżeństwa. Dziś jako kapłan pracuje gorliwie dla dobra ludu, za co też odznaczony złotym krzyżem zasługi.

W domu jego kwitnie staropolska gościnność, rodzinę zaś swą ubogą zaopatruje ks. Tomasz Łączewski ksiądz ten w ubranie, zboże do siewu, bratanków i siostrzeńców posyła do szkół, - to też jego krewni mogą na pewno powiedzieć, że "mając księdza w rodzie, bieda im nie dobodzie".

Z Wolaków pochodzi również Jan Gałyński, który po ukończeniu niższej szkoły rolniczej w Kobiernicach, wstąpił do straży skarbowej i jest obecnie naczelnikiem urzędu cłowego w Kozaczówce, - gdzie strzeże "Okopów św. Trójcy", tej twierdzy naszego bohatera, Kazimierza Pułaskiego. Jeżeli komuś z czytelników przyszła ochota zwiedzić Chocim, Żwaniec i Kamieniec Podolski, to p.Gałyński, jako prawy Polak z przyjemnością to ułatwi.

Wspomnieć tu jeszcze musimy o p. Lenartowiczu, lekarzu w Ustrzykach, o Józefie Kurzei, zarządcy podatkowym w Tarnopolu, wreszcie o Stanisławie Bochyńskim, artyście malarzu, uczniu Matejki, który swą ręką odmalował wszystkie prawie kościoły na Podhalu i słynie jako portrecista, przed kilku zaś laty osiadł w Maniowach (poczta Harkłowa), skąd

często jeździ do swej rodziny w Łącku i jemu to zawdzięczamy fotografie do niniejszego dziełka.



*Stanisław Bochyński
art. malarz*



Józef Kurzeja

W końcu wspomnieć musimy o śp. Braciach Kronenbergerach, przeorze OO.Cystersów w Mogile i medyku, zmarłych około 1888 r.

Lud mało tu posyła synów do szkół, liczba uczniów gimnazjalnych stąd nie przekracza liczby trzech. Droga od kościoła na północ wiedzie do Kiczonek i Tarnawy. Kiczonki i Tarnawa wydały bardzo wielu zacnych ludzi. Do nich należą: śp. ks. Michał Sopata, zmarły w Biegonicach, śp. Jakób Wachała, sekretarz skarbu, zacny i prawy urzędnik, śp. Ks. Jakób Szczurkowski, proboszcz w Bodzanowie, wreszcie Stanisław Jakób, profesor gimnazjalny i wielu innych.



ks. Wojciech Szczurkowski

Idąc do Zagorzyna, przechodzimy koło folwarku Tarnawa, należącego do probostwa w Łącku. Z folwarku tego, w r. 1620 chłopci z okolicy, pod dowództwem Grzegorza Kępy z Józkiem i Jaśkiem Chlipawczykiem z Ochotnicy, Błażkiem Jaszczurem i Maciejem Rusnakiem z Kamienicy, urządzali napady na dwory Arjan, Wielogłowskiego w Wolicy, pani Gabońskiej w Łukowicy, oraz Wierzbietów i Podowskich w Przyszowej. Folwark ten, od niepamiętnych czasów, dzierżawili Żydzi i tu doznawali "Abrahamowego błogosławieństwa": tu się wychowywali i stąd osiedlali w Łącku. Prawy Polak, myśliciel i przyrodnik, hr. Kazimierz Wodzicki, opisując życie jastrzębia, wytyka wady szlachty, jej lenistwo i przytacza wiele błahych powodów, pod pozorem, których, ucieka szlachta do miasta, majątek wydzierżawia Żydom. Wspomina, że gdy szlachcic, przed wygaśnięciem kontraktu, wraca obaczyć mienie ojczyste, zastaje majątek tak zniszczony, że woli go sprzedać lub wydzierżawić, niż nań powracać.

Ten sam los spotkał i Tarnawę, - była tu gorzelnia rolnicza, którą Żydzi do szczytu zniszczyli tak, że zamknięto ją w ostatnich latach życia ks. Pociłowskiego. Obecnie jesteśmy niewymownie wdzięczni ks. Piaskowemu, że objął we własne ręce gospodarkę tego folwarku, ale strat spowodowanych zniszczeniem gorzelni, nie odzyska już. Gorzelnia ta pobierała od rządu 4.000 kor. rocznej bonifikacji i zatrudniała wielu robotników miejscowych w zimie, kiedy tak trudno o zarobek.

Gorzelnia, więc była dobrodziejstwem okolicy i przynosiła znaczny dochód. Gdyby przez ten czas była w polskich rękach, mogłaby być kopalnią złota dla tubylców, wychowałaby może niejedno pokolenie, ze swoich dochodów w szkołach i może nie rozpanoszyliby się tu Żydzi. Niestety, zauważyć należy, że to samo dzieje się wszędzie u nas. I we wschodniej Galicyi, - dobra kościelne dzierżawia Żydzi, a odnośni proboszczowie zasłaniają się tu rzekomym brakiem dzierżawcy katolika i jego nierzetelnością. - Przeciw temu twierdzeniu zastrzegamy się stanowczo, bo jeżeli za kordonem wszystkie prawie rosyjskie folwarki dzierżawia Polacy, od lat kilkudziesięciu i na tej dzierżawie dorabiają się mienia i wychowują polskie pokolenia, a właściciele, pod względem rzetelności i gospodarowania, nic im nie zarzucają, to dlaczego u nas mamy na dobrach kościelnych wychowywać tylko Żydów? Przyczyna tu inna!

W ostatnich czasach wielu spekulantów nieuczciwych, podniosło przez parcelację i różne nieczne szacherki, - cenę ziemi i dzierżaw do niebywalej wysokości. Otóż majątek kościelny wydzierżawia się Żydowi, bo on swym sprytem i przebiegłością, obrabia go taniej, przy dzierżawie prowadzi setki różnych interesów, mając z nich liczne dochody, potrafi utrzymać się na dzierżawie z małą stratą, a chociaż wyniszczy grunta, zrujnuje budynki gospodarcze i prowadzi cały folwark do ruiny, to o tem każdorazowy proboszcz wiedzieć nie chce. Miliony łoży Rzym na rozszerzenie wiary w Azji i Afryce, - a my może za 200 kor. wyższego czynszu, usuwamy z folwarku kościelnego Polaka, katolika i całe rodziny polskiej służby i rugujemy w ten sposób polskość i katolicyzm i obojętne nam to, jak nasz żywioł ginie w Ameryce lub nad Renem, jak się Prusak nad nim pastwi, jak tu polskość i połączony z nią katolicyzm, na wschodzie z każdym dniem niknie i znikać musi, skoro na dobrach kościelnych, jeżeli nie trzyma się Żydów, to obrabia się ogromne przestrzenie gruntów, czeladzią i najemnikiem ruskim i obchodzi się dla tego ludu wyłącznie święta ruskie, a w święta zaś polskie pracuje się na roli, tak dobrze, jakby te dobra należały do Rusinów, a nie do Rzym. Kat. Kościoła.

Nie bierzmy hakatystom za złe, że naszych braci rugują z polskiej ziemi, bo nasze postępowanie ma tan sam skutek, co system pruski. Czas najwyższy położyć tamę wzmagającym się z każdym dniem, tego rodzaju rugom katolicyzmu i polskości na wschodzie. Sprawa powinna stać się przedmiotem bliższego zajęcia się nią ze strony społeczeństwa i należałoby wywrzeć nacisk, by ten stan uległ zmianie. Może ta uwaga nie jednemu z czytelników wyda się nie na miejscu, ale w roku jubileuszu wielkiej bitwy grunwaldzkiej, powiedzmy sobie otwarcie, że bez ziemi nie będziemy panami w swoim własnym domu, że dobra kościelne dali nasi ojcowie na rozszerzenie wiary i utrwalenie polskości, a nie na hodowlę żydostwa i hajdamaków, że wychowani i wzbogaceni na dobrach kościelnych Żydzi, sięgną po nie niedługo tak, jak niedawno zrobili to we Francyi.

Dzieje się tak, jak powiedział nasz wielki pisarz Korzeniowski: "wszystko przeszło jak sen i z pięknych nadziei, ofiar i krwi przelanej nic nie zostało, prócz wspomnień i kilku desperackich czynów męstwa i odwagi, którą Bóg dał polskiemu sercu, ale nie dał głowie polskiej rozumu, bez którego wśród rozumnych sąsiadów nie było bezpieczeństwa całości i na nic się zdało męstwo i odwaga"

Za Tarnawą rozpoczyna się Zagorzyn, domy tu obszerne stoją rzędem po jednej i po drugiej stronie rzeki, pola orne i łąki rozbiegają się, to na grzbiet kiczański, to ku wysokiej Beniowej.

Szkoła mieści się w okazałym budynku, częścią murowanym, częścią drewnianym, niepodobnym do starej, - z której wyszło wielu zdolnych ludzi. Choć ziemia tu urodzajna, "gazdowie" jakoś na swoje wyjść nie mogą, - najprawdopodobniej, dlatego, bo grosz, który ich ojcowie dawali na wykształcenie dzieci, dziś składają na cześć i chwałę Mośka, a starszych synów wypychają na zarobek do Ameryki, by stanowiska w kraju oddawać Żydom i Rusinom.



Szkoła w Zagorzynie

Z całej wioski, chodzi zaledwie Antoni Myjak do seminarium nauczycielskiego w Starym Sączu, w innych szkołach nikogo z tej wsi nie spotykamy, brak ich też jest i w rzemiośle. Jako gangrenę społeczną tej górskiej okolicy, naznaczyć wypada, zjawiający się w ostatnich czasach zanik miłości rodzicielskiej do dzieci. Ledwo biedne pacholę zacznie się ruszać po ziemi, bose, otulone workiem przed deszczem, pędzą je rodzice z gęśmi i cielętami na pastwisko, równo ze wschodem słońca i to nieraz w mroźne dni września i października. Nauka szkolna, ich zdaniem wcale nie potrzebna, a przymus szkolny, to kara niebios.

Do szkół średnich szkoda im posyłać synów, bo oni zastępują parobka i dziewczkę, którym prócz płacy, trzeba by dać obuwie i ubranie, - tak, więc dziecko pracuje darmo, a tatuś i mamusia rosną w dobrobyt, - mają, za co sprawiać chrzciny, uraczyć się z kumotrem i kumosią, pojechać i popić na każdym odpuszcie. Gdy dzieci wyrosną i nie trzeba tyle rąk do pracy w domu, by ich darmo nie żywić, - wysyła się synów do Ameryki, dziewczęta do Prus, skąd wracają zwykle do domu w towarzystwie "Frytżów" i "Wilusiów". Synowie zaś pracują nieraz w pocie czoła w Ameryce, odmawiając sobie koniecznego posiłku, by zaoszczędzić grosza i przysłać "tatusiowi" - "tatus" zaś, aż ręce zaciera z radości, jadłem napojem podpiera siły starości a gdy biedny syn, przeczuwając zbliżający się zgon ojca, wraca do kraju, by osiąść na krwawo zapracowanym kawałku gleby, - trafia na pogrzeb matki.

Tymczasem ojciec, 70 letni starzec, obiema nogami już prawie w grobie, wracając z cmentarza, wstępuje do karczmy i w niej, przy kieliszku, swatają go z 16 lub 17 letnią dziewczyną, - zamiast ożenić syna, żeni się sam z panną młodszą nieraz o kilkanaście lat od swego najmłodszego dziecka. Krzywda, jaką przez to synowie ponoszą, zapracowani i podstarzali przedwcześnie, - woła o pomstę do nieba! Taka znów macocha, wprowadzona w dom rodzicielski, tworzy tu istny dom nierządu, dzieci sypią się rok po roku, ojcami ich to

pasierby lub "kumotrowie": - Po kilku latach umiera stary wróg, wróg własnych dzieci, zapisuje majątek cudzemu dziecku, a jeżeli zostawi go naj starszemu synowi, to obarczy syna takimi zapisami na rzecz macochy i zbytecznego potomstwa, że tych zapisów przy usilnej pracy, oszczędności i najdłuższym życiu do śmierci z odziedziczonego gospodarstwa, nie wyciągnie.

Młoda wdowa z kilkorgiem dzieci, znów wychodzi za mąż i pod jednym dachem toczy prawdziwą "wojnę" z pasierbem, prowadzi procesa i doprowadza, kwitnące niegdyś gospodarstwo do ruiny. Do tego ustępu moglibyśmy zacytować setki, a nawet tysiące podobnych przypadków, nie omylił się i nasz wielki pisarz Reymont, pisząc swoich "Chłopów" i malując los starego Boryny.

Takich Borynów mamy dziś po wsiach, aż za wiele, - przyczyną tego jest zupełna ciemnota i najpodlejszy materializm. Nieraz słyszeć tu można "pobożne kumosie": które przy kieliszku życzą sobie, by im Bóg, ... choć połowę dzieci zabrał. Jakaż szkoda, że nie istnieje tu handel dziećmi, można by je dobrze sprzedać, lub przepić!

Zacni kapłani, wy winniście czuwać nad ludem, szczepić iskrę miłości w sercach ojców i matek, nakłonić ich, by oddawali dzieci do szkół lub rzemiosła, by one przyniosły potem choć krzynek oświaty pod ciemną i zabrudzoną ich strzechę. Wszak lud, to jedyna ostoja narodu i wiary, czemuże będziemy gdy utonie w brudzie i ciemnocie i zaprzepaści resztki rodzinnej gleby. Gdy do was przyjdzie taki stary lubieżnik dawać na zapowiedzi, niech się obudzi w Was godność pasterska i spytajcie się tego samca, jak ubezpieczył dzieci, które całe życie na niego pracowały, miasto ślubu, - każcie mu ożenić syna i kołysać wnuki, w razie uporu posłać go do Kulparkowa, a w ten sposób zapobiegniecie zgorszeniu publicznemu i zaskarbiecie sobie serca biednych dziatki, których ślub starego ojca pędzi na żebry i rujnuje zagrodę.

I Zagorzyn należał do starosądeckiego klasztoru, w połowie XV wieku miała wieś sześć łąnów kmiecych, z których płacono czynsz rozmaity, dawano jednego koguta, dwa sery i dwadzieścia jaj z łąnu, odrabiano "powabę": dawano "osep", - po miarce jęczmienia i dwie miarki owsa, oraz cztery grosze oprawnego. Wszystkie role płaćły dzierżawę wartości pięć grzywien klasztorowi.

Po kasacie majątku w 1785r, przyszedli tu Niemcy, katolicy z Bawarii, jeździli psami do kościoła w Łącku i dla nich prawiono kazania niemieckie, Jeszcze między rokiem 1870 a 1880 było ich tu wielu, ubierali się w polskie buty i granatowe surduty, - aż w naszym brudzie i nieuctwie, zupełnie utonęli. Ostatni potomek Niemców chodzi boso i mieszka w kurnej chacie; tyle zarobili Niemcy na asymilacji do naszej, chłopskiej kultury. Z chlubą należy podnieść, że nie było wsi, która by tylu wydała wykształconych ludzi, co Zagorzyn.

Stąd pochodzą śp. bracia doktorowie Schmidtowie, jeden prezydent miasta Krakowa, drugi fizyk w Myślenicach, radca szkolny Walenty Myjkowski - prezydent sądu w Białalu, Piotr Myjkowski - radca skarbu, Józef Czarnek, niezliczona ilość księży, między innymi ks. Jan Zagórzyński - dziekan brzeżański w Podwysokiem, prawy Polak i pionier naszej sprawy narodowej, wreszcie Maciej Gibowski - komisarz w Zborowie. Spotykamy więc rodaków zagórzańskich po całym świecie. Starsi zdobywali sobie nauką stanowiska, młodzi musieli pracować w kopalniach Ameryki, bo rodzice nie dawali ich do szkół, ani do rzemiosła, a ziemia rodzinna wyżywić ich nie może. Ze Zagorzyna posłuje na sejm krajowy pan Wincenty Myjak, dzielny gospodarz i tęgą rzecznik spraw ludowych.



*Maciej Gibowski,
Zborów*



ks. Jan Zagorzyński

Przed nami wznosi się, wysoka, okryta dziewiczym lasem kopuła góry Modyń (1 038 mnpm).

Na jej stokach rozsiadły się Wola Kosnowa i Wola Pikulina z przysiółkiem Paryż, który jednak nic niema wspólnego z stolicą Francji. Mamy stąd kilku uczniów gimnazjalnych, miłych i dobrych chłopców Antoniego i Karola Gromalów i Antoniego Mąkę.

Mijamy te wsie i spieszymy na Modyń, - coraz wyżej i wyżej, owiewa nas świeże, górskie powietrze, w dwie godziny jesteśmy na szczycie. Zbocza góry tej są niekiedy bardzo spadziste, ani marzyć by się tu wdrapać. Góra okryta rzęśistym lasem wiekowych jodeł i świerków, jest własnością Zagorzyna, Czernca i Łączek. Na północ stąd rozciągają się płaszczyny łąk i pól, kędy późno świta wiosna i wczesnie zapada jesień. Szron nieraz wczesny przysypuje liche owsy i jarce i pozbawia górali owoców długiej i mozolnej pracy całego roku.

Dokoła urągają jego spracowanej dłoni i fraszobliwemu obliczu, wierchy i pogórza osypane mrozem, szronem i śniegami. Droga do Łacka jest wtedy bardzo uciążliwa i nieraz muszą się wyrzec w czasie zawiei i śnieżnej i mroźnej zimy, nawet nabożeństwa w kościele, jedyne urozmaicenie w swym szarem życiu. Siedzą wtedy w swych kurnych chałupach, zasypanych śniegiem, często bez wody i chleba po kilka dni i trudno im doczekać "wiesny": Szkoły tu niema, wieczorami zimowymi przy bladym kaganku, uczą się chłopskie dzieci czytać, na książkach do modlenia od starych gazdów.

Z Modni prześliczny widok na Tatry, Gorcz, Lubań i góry Sądeckie. Stąd puszcza się przez góry w poprzek, by zaglądnąć do Kiczni. Odmienny tu porządek. - Domy porozrzucane po "roztokach" i parowach, wiele tu sadów jabłoni i węgierok, to też jesienią, w roku urodzaju, cała wieś jest zajęta przy suszarniach. Tu też przyjeżdżają kupcy z daleka, nieraz nawet i ze Lwowa, zakupują całe sady śliwek i wysyłają na kolej. W wiosce tej było wiele szlachty szaraczkowej, lecz panowie szlachta, żeniąc się z chłopkami, dziś prawie zapomnieli o swym pochodzeniu.



ks. Antoni Jurkowski

Mimo tego, niektórzy zachowali przecież swój herb rodowy, - Np. Ossowski herbu Poraj, Jurkowsky, Dąbrowscy, Kałużni, Mrówki itd. Nie wielu rodaków "kiczeńskich" starało się o zdobycie wiedzy. Z tych nielicznych, to śp. ks. Jurkowski, zmarły w 1895 w Zawoi, brat jego Antoni Jurkowski - proboszcz w Mikoszwowicach, który zawsze odznaczał się życzliwością i szczerością dla kolegów, gorąco ukochał lud i zjednał sobie jego serce. Wreszcie śp. ks. Wincenty Wnęk, proboszcz w Pstrągowej. Przed laty dziesięciu powstała tu szkoła, która tu może rozświeci nieco noc i ciemnotę. ks. Antoni Jurkowski - Ze

wsi tej na uniwersytet uczęszcza Piotr, a do gimnazjum Tomasz Kowalczyk. Stąd już wracamy do Łącka. Na zachodzie za Łąckiem, w odległości 1 km, spotykamy kapliczkę M. Boskiej, z obrazem malowanym na wewnętrznym murze, tak starym, że nikt nie pamięta ani twórcy obrazu, ani twórcy kapliczki.

Obraz, który można widzieć przez okno, ma około metra wysokości, nałożony jest farbami niebieskimi, przedstawia Matkę Boską Bolesną. Kapliczkę tę odnowił śp. Witalis Chamiec, zmarły koło roku 1898, człek zacnego charakteru i rzadkich przymiotów duszy, były inżynier drogowy. Tu, przy tej kapliczce, w zmierzchu wieczornym, gromadzą się dziewczęta ze wsi, śpiewając rzewne a gorące suplikacje. W ciszy i zmierzchu wieczornym ożywia się kapliczka blaskiem skromnych świeczek i głosem hożych dziewcząt, a głoski pieśni "Matko odpuść... Matko ubłagaj.. . matko przyczyn się za nami.. .!": - płyną gdzieś daleko, siwe fale Dunajca szumią zaś przepotężnie, rozgłosnie w wieczornym zmierzchu, przygrywając, niby na organach tej, ubłagania proszącej, dziewczęcej pieśni. Szumi tu Dunajec, ale szumi nieraz złowrogo, bo zabiera co roku najpiękniejsze grunta tej uroczej wsi... i będzie dalej zabierał, nim Wydział Krajowy ulituje się nad losem Czernca.

Tuż za kapliczką obszerne zabudowania gospodarcze, - to zagroda Jakóba Zbożnia, syna Marcina w Maszkowicach. Za nią rozciąga się prześliczny sad, - to sad Antoniego Ćwikowskiego, mimo woli przychodzi nam na myśl ta śliczna piosenka Lenartowicza:

,W sadzie dziadek już siwy,
W strząsa drzewa, a dziatki,
Zbierają do chatki
Gruszki, jabłka i śliwy". . .

Ćwikowski, to wzór polskiego chłopa, gospodarza. Urodzony w roku 1844 w Czerńcu, uczęszczał do szkoły w Łącku, - podówczas jeszcze niemieckiej i w niej celował zdolnością i pilnością. W 18 -tym r. odumarał go ojciec, więc, za zezwoleniem władz wojskowych, ożenił



się z Maryą Jaworską rozpoczął ciężką ale, wydatną pracę na dwudziestokilko morgowym gospodarstwie. Już jako młodego gospodarza, obrano wójtem, członkiem rady szkolnej w Łącku i komitetu kościelnego. Urzędy te piastował kilkakrotnie, a dla swojego rozumu, nieskazitelnego charakteru, wydatnej pracy, zyskał szacunek i poważanie w gminie i okolicy.

Jego staraniom zawdzięcza Czerniec na- bycie większej ilości lasu, niezbędnego dla gminy.

Miłując w szkole naukę, poznał jej korzyści i potrzebę, to też synom swym dał wyższe wykształcenie. Najstarszy, dr. Stanisław, adwokat w Nowym Sączu, młodszy Franciszek - prof. gimnazjum w Nowym Targu, trzeci Jan - kierownik

szkoły ludowej, wreszcie najmłodszy Michał, po ukończeniu szkół w Nowym Sączu, osiadł na ojcowskim zagonie. Oby więcej było tak światłych i tak obowiązki ojcowskie pojmujących, kmieciów, - a czas oswobodzenia wnet nastąpi.

Środkiem wsi wije się potok Beniowski, we wsi domy mieszkalne i zabudowania schludne i obszerne, wskazują na trzeźwość i zamożność gospodarzy, z których prócz Ćwikowskiego, wymienić należy: wójta Michała Sopatę na "Brzegu": Kasprzaków, Piksów, Kuźlów itd. Wioska cała otoczona bujną zielenią regularnie posadzonych sadów, okrytych białym kwiatem na wiosnę, a rumianymi owocami w jesieni, - wygląda uroczo i malowniczo i nadaje się najlepiej na miły odpoczynek letnikom.

Jadąc dalej, na lewo widzimy Dunajec, pokryty na brzegach łożyną, na prawo zaś, towarzyszy nam wzgórze Beniowy, względnie kończyny Modni - na tem wzgórzu, tuż nad drogą, wznosi się kilka, lichy skleconych, chatek, zwłaszcza ostatnia przypomina chatę "Tumrego": Z chatki tej pochodzi uczeń gimnazjalny Antoni Kuziel, który własnej pracy

zawdzięcza utrzymanie w szkołach, - to też chatka ta może zawstydzić niejedną, bogatą zagrodę, której właściciel "zdrowo" przepija swój majątek i nie kształci dzieci.



Jan Ćwikowski



dr. Stanisław Ćwikowski

Prócz niego, uczęszcza jeszcze do gimnazjum Jakób Kasprzak. Z Czerńca pochodzi ks. Wincenty Piksa, syn śp. Józefa i Reginy z Dudów, rolników w Czerńcu, ur. 4.VII. 1836r.



Franciszek Ćwikowski

Już w łąckiej szkole zwrócił na siebie uwagę śp. Fruzińskiego, nauczyciela i śp. ks. dr. Maciej a Szaflarskiego, ówczesnego proboszcza w Łącku, jako chłopiec bardzo pilny, utalentowany i skromny, to też ks. Szaflarski starał się wszelkimi sposobami nakłonić rodziców, by syna dowyższych szkół posłali. Za sobą, pociągnął ks. Piksa więcej chłopaków do szkoły w Starym Sączu i tak: Daniela Kłaga, Jana Myjaka, Lenartowicza, Królickiego, Kurzeję, Pasiudę, Szmidę, Ungera, Biegańskiego, Wadowskiego, Ćwikowskiego i wielu innych.

Po ukończeniu szkoły starosądeckiej i sześcioklasowego gimnazjum w Nowym Sączu, udał się na dalsze studia do Krakowa. Po wyświęceniu przez biskupa dr. Antoniego Wałęckiego, dnia 28.VIII.1863 r. spełniał chlubnie funkcje kapłańskie, przy różnych kościołach w Krakowie, redagował wiele pism ludowych i religijnych, szedł zawsze prawdą i pracą przez świat, to też droga, którą stapał nie była wyścielona różami. Największą burzę sprowadził na siebie, wydaniem książki przeciwko szczepieniu ospy. Oszczędny dla siebie, dawał hojnie tam, gdzie tego interes ojczyzny i nędza bliźniego, wymagały.



ks. Wincenty Piksa

Od lat kilku bawi na emeryturze, w drogim mu zawsze Krakowie, przy ulicy Sławkowskiej. Pani Rozalia Chrobakówna, bardzo zdolna nauczycielka w Jazowsku. Rzadki to wypadek, by córka wieśniaka z zamiłowaniem oddawała się nauce i osiągnęła stanowisko nauczycielki.

Jedziemy dalej, na tak zwane Obłazy; fale Dunajca obmywają białą pianą ich stoki.

Na południe, - na pięknej równinie za Dunajcem, pod górą zwaną Skałka, - rozłożyła się wieś Zarzecze. Dokument św. Kingi z r. 1280, zapisuje tę wieś, jak i wszystkie już wspomniane, na rzecz klasztoru w Starym Sączu. Tu po wojnie chocimskiej osiedliło się kilku jeńców tureckich, nadano im nazwisko "Turków" i stąd wszyscy Turcy w Sądeckim się wywodzą. Mimo wieków, zachowali swą rasę, - są wysocy, bruneci i pracowici. W czasie trzeciego rozbioru Polski, -

Turcy w Zarzeczu pierwsi poczęli uprawiać kartofle. Dunajec oblewa Zarzecze, - od zachodu i północy - a w czasie wylewu, odcina je zupełnie od bożego świata i od kościoła. Dlatego też ks. Piaskowy chciał tu zbudować kościół i osiedlić przy nim księży emerytów, ale gmina na to się nie godzi, bo wie, że z biegiem czasu, na jej biedne barki, spadłby ciężar utrzymania kościoła i służby. Ks. Piaskowemu jesteśmy wdzięczni za ten projekt, ale wolelibyśmy, gdyby dla Zarzecza zbudował tanim kosztem przewóz na linie, a we wschodniej Galicji, stawiał kościoły gdzie, jak "Gazeta Kościelna" dowodzi, brakuje aż 75 parafij, w stosunku do parafij ruskich, a lud ma do kościoła po 15 - 30 klm.

Dziwna rzecz, że przez tyle wieków po zawarciu "Unii": nikt nie dbał o obrządek rzymsko - katolicki i polskość wschodniej Galicji. To też osadnicy z pod Warszawy i z WielkoPolski, wynarodowili się tu i zruszczyli zupełnie.

W ostatnich czasach wybudowano w Krakowie i we Lwowie dwa kościoły, kosztem przeszło 10 milionów, a na wschodzie brak, dla naszego chłopca, pieniędzy, choćby na skromny, drewniany kościółek. A jednak nikt nie zaprzeczy, że kazanie i pieśń polska utrzymała tu świadomość języka polskiego.

W ostatnich czasach, by nie drażnić Rusinów, a może z innych względów, - wprowadza się we wschodniej Galicji powszechnie łacinę, a prześliczne psalmy Kochanowskiego, które lud tak ukochał i rzewnie śpiewał, - giną.

Dziś stawia się na chórze dwóch chłopów, którzy z organistą śpiewają psalmy łacińskie, dla ludu niezrozumiałe, to też chłop nasz ucieka do cerkwi, gdzie w zrozumiałym dla niego języku, Pana Boga chwala, a nasze kościoły z dnia na dzień pustoszeją. Tak się dzieje rzeczywiście, - i kto dobrze zna duszę naszego chłopca, wie o tem z pewnością, że niczem się go prędzej nie wypłoszy z nieszpórów, - jak łaciną!

Winni też znać serce ludu jego pasterze i wiedzieć o tem. Katusze za pacierz i modlitwę polską we Wrześni, obudziły u nas w ludzie poczucie narodowe i pragnienie polskiego słowa - nawet i w kościele, z tem winni się liczyć polscy biskupi i kapłani i nie winno im być dziwne, że za wyrzucenie precudnej polszczyzny psalmów Kochanowskiego, lud ma do nich szczerzy i serdeczny żal, że łacina nieszporna budzi oziębłość i chłód dla kościoła, że my i lud nasz cały kocha słowa i treść polskiej pieśni, a łacińskiej nie rozumie, Przecież to samo było przyczyną tylu wojen reformacyjnych, a dziś w czasie walk o prawa narodowe i językowe, budzi to gorszą może, bezwyznaniowość.

Moglibyśmy przytoczyć tu nie jeden kościół, w którym w czasie najbliższych, uroczystych nabożeństw, nie usłyszysz się słowa polskiego. A przecież to nie dawne czasy, gdy



kapitan Piotr Turek

przy obrzędach kościelnych (np. przy komunikowaniu) używano mowy polskiej. Nie dziw więc, że lud odstręcza się od kościoła, a w Królestwie garnie się do Maryawitów, posługujących się w liturgii mową polską. Rugowanie języka polskiego z kościoła, przysposabia i w Galicji grunt Maryawitom.

W Zarzeczu były dwa folwarki zaściankowej szlachty, Mieczkowskich, tu urodził się w r. 1821 Piotr Turek, prawy Polak, kapitan wojsk austriackich uczęszczał do gimnazjum łacińskiego w Podolińcu, a na "filozofię" w Tarnowie. Gdy z Tarnowa wracał do domu, pochwycili go Niemcy w Nowym Sączu i oddali do wojska. W wojnie z Węgrami odznaczył się walecznością i dosłużył się rangi kapitana, po wysłużeniu 40 lat, osiadł w Łącku i tu zmarł 6 grudnia 1885 r., spoczął więc w ziemi rodzinnej, którą tak gorąco ukochał.

Z Obłazów zjeżdżamy na dół drogą, która skręca się w lewo i tu roztacza się przed nami nowa, prześliczna panorama górską, na granicy Czerńca i Zabrzeży. Był tu niegdyś młyn, zwany "u Pojdra", kilkanaście kroków wyżej, karczma "Zazdrosna". Awanturniczy Dunajec

podmywał, w przystępach dobrego humoru, kolejno te dwie, ważne placówki. Uprzątnął naprzód młynówkę, a potem, pewnej nocy uniósł i karczmę "Zazdrosną", nie zostawiając po niej ani śladu. W karczmie tej mieszkał Mordko Schein - ciekawy typ Żyda, który zarabiał na życie, nie kwaterką i szacherką, ale to jako cieśla, kowal, to kotlarz, to znowu jako kamieniarz, po okolicznych dworach i gorzelniach. Wszechstronny ten mistrz sztuki budowniczej, - naprawiał prócz tego ręce i nogi i umiał opowiedzieć setki anegdot i epizodów z r. 1846 i 1863. Pamiętał i przechód Moskali na Węgry w r. 1848 i opowiadał barwne zdarzenia z tego czasu, - szkoda Mordku, że byłem wtedy jeszcze młody i mało cię rozumiałem, dziś by było inaczej. Ale cześć twojej pamięci, bo choć po tobie i Zazdrosnej, przeszły fale czasu, słuchy o was, między ludem, nie giną. Mordko, to prawdziwy Jankiel z Pana Tadeusza, a może, może więcej! Za mostkiem na młynówce, już w Zabrzeży widzimy ogromną karczmę, niegdyś współzawodniczkę Zazdrosnej. Karczma ta zowie się "Kałużna": Przed nią, na prawo, leży młyn zwany "Zelij": własność Słabaszewskich.

Nasza Kałużna - to karczma sięgająca jeszcze czasów św. Kingi, bo w r. 1312, Anna, przełożona klasztoru sądeckiego, przywraca sołtystwo w Zabrzeży, Klemensowi, synowi Swarcona, który otrzymał takowe od św. Kunegundy z karczmą, półłankiem wolnym i trzecim denarem kar sądowych. W r. 1631 "siedzi" na Kałużnej "wybraniec" królewski, Zabrzeski, - ze swoją, szerokiego serca małżonką. Tu hetman zbójcecki Mikołaj, - na czele dwudziestu drużyny, - ciągnął na Barcice, Gorcami, nad Tylmanową i ze swą zgrają zdążył do Kałużnej, gdzie nieraz spędzał miłe chwile z uroczą karczmarką. - Na Kałużnej w karczmie schadzali się zbójce, do których przystał brat karczmarki Wojciech i Maciej, godny jej synalek. Tu gromadzili się Sopaciacy ze Zbludzy i Twarożnik Stanisław i uradzili napaść na ariankę, Dorotę Gabońską w Łukowicy. W roku 1848 Moskale rozłożyli obóz znów przed tą karczmą, - była ona wtedy własnością dominium zabrzeskiego i dzierżawił ją Lustig, a w r. 1872 kupił ją Berek Krumholz, z kilku morgami gruntu, z karczmą we Wietrznicach i prawem propinacji za 7,100 złr. Za prawo propinacji wziął Berek 6,000 złr, a za Kałużnę z gruntami i karczmą w Wietrznicach, wziął od Mojżesza Steinera, rodem ze Słopnic, 3,000 złr. Kilkadziesiąt kroków dalej, przed karczmą na lewo, stoi przy drodze skromny, deskami obity domek, to szkoła w Zabrzeży. Gdy Kółka Rolnicze w Poznańskim, w niedługim czasie po założeniu, podniosły przemysł i rolnictwo, poczęto i w Galicji zakładać Kółka Rolnicze, - powstało więc i w Zabrzeży takie kółko w r. 1885.



Szkoła w Zabrzeży

Do handlu i przemysłu, trzeba jednak łączności i sprytu, pozatem pewnej nauki, - u nas zaś oddano często kółka chłopom analfabetom, nic więc dziwnego, że wiele z nich wkrótce upadło. Śp. Franciszek Huza, wielki miłośnik nauki, postarał się o założenie szkoły w Zabrzeży, której tu przedtem nie było i umieszczono szkołę w dawnym domku kółka. Stąd prowadzi, brzegiem Dunajca, urocza droga do Krościenka, a druga na prawo do Kamienicy. Wieś rozłożyła się nad drogą wiodącą do Kamienicy.



Kapliczka w Zabrzeży

Idąc tą drogą, pod pagórkami, widzimy starą, wysoką kapliczkę, jakich nie brak na szlakach tatarskich, w okolicy Sokala, Oleska i Kołomyi. Kapliczki takie, w wiekach średnich zastępowały nasz telegraf, w razie napadu Tatarów, zapalano na nich ogień, dając znak, że wróg się zbliża. Obok tej kapliczki, wiedzie drożyną na prawo w górę, do osad Huzówka, Pokrzykówka i Kozikówka. Na Huzówce, mieszkał długie lata Franciszek Huza, o którym wspomniemy później. Wracając drogą nad dwór, na gościniec zwany "Górki": widzimy pola uprawne, leżące w środku wsi i kamieńce rzeki Kamienicy, wpadającej tu do Dunajca. Po prawej stronie tej rzeki, widzimy pierwszą, ludną osadę Boczów, ta część wsi, rozłożyła się na stokach Gorcza, a pola jej zwrócone na północ, są mało urodzajne. Stoki Gorcza poprzecinane są potokami i na tych stokach, wznoszą się osady, tak zwane "zarębki":

Po lewej stronie Kamienicy leży większy szmat ziemi uprawnej, sięgający aż na stoki Modni, gdzie rozłożyły się osady Paproć Niżnia i Wyżnia, a nad nimi, wysoko na górze - Beniowy. Wznoszą się te osady terasami, jedna nad drugą. Dalej, nad rzeką Kamienicą, w środku pól, wznoszą się większe zabudowania gospodarcze i młyn śp. Michała Kurzeji. Naprzeciw zagrody Kurzeji "zarębek" Groń, gdzie według Morawskiego, stało niegdyś jakieś grodzisko czy zamek. Dalej ku zachodowi, wznosi się zarębek Wójciki, tędy wiedzie bliższa ścieżka do Ochotnicy. Po przeciwnej stronie, wznosi się najniższa w Zabrzeży "Babia Góra", zwana tak, może z powodu podobieństwa do królowej Zachodniego Beskidu. Leży ona na tle wzgórz Paproci, której czub nad nią się wznosi.

- Tu rozłożyły się trzy osady zwane "Babińcem": Babiniec ten, pamiętny z tego, że tu w r. 1873 wybuchła cholera i do 24 godzin, porwała gospodarza Walentego Zabłockiego z ośmiu domowników. Na cholerę zmarło w 1873 r., w Zabrzeży 96 ludzi. Druga z tych osad to "Bandyki", - tak zwane od właściciela, Stanisława Bandyka, którego syn Antoni, raniony w bitwie pod Sadową postrzałem karabinowym w głowę, sześć lat nosił kulę między oponą mózgową, czaszką. - Leczone go bezskutecznie w Wrocławiu, - wróciwszy do wsi, skarżył się biedak na ustawiczny ból głowy i to mu jeno ulgę przynosiło, gdy kładł się na ławce, zwieszając głowę niżej. Po sześciu latach kula sama, bez operacji, wydobyła się z rany, gdy leżał jak zwykle na wznak, na ławce z w tył odchyłoną głową. Szczęśliwy Antoni żył jeszcze, po tym wypadku, 10 lat. Trzecia osada, ukryta w pięknym sadzie, za Babią Górą, - to zagroda kowala, Józefa Zabłockiego. Obok niego, poza Babią Górą, prowadzi droga na Paproć. Gościniec od domostwa kowala, spada w dół, a nad nim wznoszą się majestatyczne Wdżary, góra podobna do Sokolicy w Pieninach.

Wysokością przenosi ona wszystkie, przydrożne góry zabrzeskie. Na jej wierzchołku siadają sępy i orły, zataczają nad nią koła, by ulecieć na sąsiedni Gorcz. Naprzeciw Wdżarów, po lewej stronie widać skromne, lecz schludne domostwo Piotra Zbożnia. Brat jego, Franciszek - major, mile przepędzał tu lato. Tu na ścianach wiszą piękne obrazy naszych gospodarzy w strojach ludowych, - tu widzisz skrzynię wiejską, malowaną ornamentyką ludową, ręką pana majora. Obok Zbożnia prowadzi droga na dalsze cztery zarębki: Słabaszową, Jarosza, Kluczniki i Równice. Słabaszowa, to najbogatszy zarębek ze wszystkich, rodziły się tu kiedyś wyborne jabłka, gruszki i śliwy.

Na Słabaszowej zrodzili się i wychowali bracia Wojciech, Józef i Marcin Baziacy. Pierwsi dwaj, po ukończeniu służby wojskowej, wstąpili do sądu i dosłużyli stanowiska dyrektorów kancelaryjnych. Pan Wojciech Baziak przeszedł już na emeryturę i jako właściciel wielu domów, mieszka w Złoczowie.



Józef Baziak



Marcin Baziak

Pan Józef Baziak służy w Tarnopolu, wreszcie pan Marcin, najmłodszy, jest zarządcą podatkowym w Wieliczce i właścicielem pięknego domu z ogrodem. Najprzystępniejszy, to zarębek Jaroszków, leżący tuż nad Kamienicą, mieszka tu Józef Bulanda, wdowiec po śp. Annie z Kurzejów, zmarłej w kwietniu 1910r. i jego sąsiad Dybiec. Na stromej górze rozłożyły się zarębki Kluczniki, - tam mieszkają Kucie, - a po wyżej nich Równice, własność Karczów.

Idąc gościńcem od Zbożnia w górę, spotykamy mały potoczek, nad którym wznosi się wysoko osada Potok, - tu mieszka Jopek, sławny z kilkudziesięcioletniego procesu z sąsiadem. Na pięknym wzgórzu, za potoczkiem, wznosi się osada Gronik, - to kiedyś własność ubogiego chałupnika Tomasza Janczury, którego syn śp. dr Michał Janczura, był znanym adwokatem w Nowym Sączu. Był to człowiek zacny, wspierający hojnie ubogiego

ojca i miło było widzieć, gdy stary ojciec wracał wesoły od syna Michała, piechotą wprawdzie, ale z dziesiątkami w kieszeni.

Syn swojej pracy wszystko zawdzięczał i mógł wspomóc potem nie- raz ojca, a iluż to synów, bogatych gospodarzy, marnieje bez światła nauki, w kopalniach Stanów Zjednoczonych i w plantacjach Brazylii?

Na zachód od Gronika, lecz jeszcze wyżej, rozłożyła się majestatycznie osada Dąbrowy. Tu mieszkał Jan Gierczyk, odważny i śmiały woźnica, który nieraz dalekie światy oglądał. W 1871 odwoził mnie ten człowiek, wózkiem góralskim i małym konikiem, do Sanoka, 180 klm w jedną stronę. W r.1872 w drodze do Tarnowa, na popasie w Posadowej oglądaliśmy razem, dużą, jasną kometę. Jan wtedy frasobliwie przepowiadał pomór - i rzeczywiście, w rok potem wybuchła cholera w roku 1873. W r. 1908 odwiedziłem Gierczyka, przypomniła mi się i kometa i pomór, ale Gierczyk był już siwym, jak gołąbek i niedługo potem zmarł w listopadzie, ten najlepszy woźnica ziemi sądeckiej. Obok drogi pod Dąbrowami, stoi kaplica świętego Urbanka, - tu wytryska źródło, którego woda, jak wierzy lud, leczy oczy...

Naprzeciw tej kaplicy, widać białą zagrodę śp. Józefa Bulandy. Jako chłopiec dostał się on na dwór śp. Marszałkowicza w Kamienicy i tam biegle wyuczył się krawiectwa, że panu dziedzicowi, jak "warszawski" mistrz robił kontusze i czamary. Po śmierci dziedzica osiadł w Zabrzeży. Gdy w roku 1908 wracał z jarmarku w Łącku, "zawadziła" o jego wózek tłuszcza pijana na Kałużnej i kijami na miejscu zabiła.

Obok tej zagrody był lasek jodłowy, zwany "u Rydza", gdzie często urządził ks. Pociłowski majówki, działwie szkolnej. Naprzeciw domostwa Bulandy jest zagroda Rydza w bardzo miłym ustroniu, nad brzegiem rzeki Kamienicy. Tu wznoszą się odwieczne olchy, na

których sejmikują burzliwie roje szpaków.



Wojciech Faron

Kilkaset kroków od św. Urbanka leży "Koniec wsi", - to osada Faronów. Pochodzą oni z Królestwa, osadziły ich tu zakonnice starosądeckie, nadając im mały kawałek ziemi, by za to utrzymywali przewóz na rzece kamienickiej. Brali oni udział w walkach napoleońskich i w walkach o niepodległość. W r. 1846 bronili Faronowie dworu w Kamienicy przed napadem wzburzonych chłopów. Ród ten wydał wielu snycerzy i rzeźbiarzy, - figury ich zdobią wszystkie drogi ziemi sądeckiej. - Zagroda Faronów to najmiłsze ustronie całej Zabrzeży. Z tej zagrody pochodzi nasz zacny i powszechnie lubiany p. Wojciech Faron, komisarz w Nowym Sączu. Na północ od ich osady spotykamy jeszcze osady Muchów i Jaworów. Tedy prowadzi droga na Beniowę. Po przeciwnej stronie osady Faronów, za rzeką na wzgórzu, mamy ostatnią osadę Zabrzeży - Dybce, które

stanowią krańcową ich dzielnicę. Tu mieszkał czarownik, zwany „Wikarym” albo "Cycusiem".

W obszernej izbie i pod strzechą swego domu miał pełno figur świętych, naturalnej wielkości, Szalbierz ten cieszył się liczną klientelą głupiego ludu. - Prawie na grzbiecie góry nad Dybami, stoi skromna chatka otoczona brzozą, śliwami i kwiatami malw, podobna z dołu do orlego gniazda. Mieszka tu sierota, 16 -to letnia Marysia, przypominając coś z baśni o zaklętych królewnach, które były same, samiuteńkie.

Od jej też chatki rozciąga się przepiękny, malowniczy widok na srebrną wstęgę Dunajca w dole i kościół w Łącku. Tu też jest kopiec graniczny trzech wsi, Zabrzeży, Ochotnicy i Kamienicy. Wielu ludzi urodziło się i zmarło w Zabrzeży, a że "pociagu" do zwiedzania świata bożego "nijakiego nie mieli": nigdy tego uroczego zakątka nie oglądali. Za potoczkiem Faronów poczyna się już wieś Kamienica, uderza tu już widoczne ubóstwo gleby.

Wieżę tę zabrał rząd klasztorowi starosądeckiemu w r. 1782 i administrowali nią Szalayowie do roku 1830. W tym roku sprzedał ją rząd Józefowi, Karolowi Kirchnerowi za 42.000 złr. Ten zmarł w cztery lata później, a naj starsza córka Kornelia, drogą podziału, objęła Kamienicę na własność, w cenie 90.000 złr. i wyszła za Maksymiliana Marszałkowicza, kandydata adwokackiego w Tarnowie. Marszałkowicz, człek prawy, rozumny i pracowity, osiadłszy w Kamienicy, podniósł wysoko wartość tego majątku.

By podnieść dobrobyt ubogich górali, pobrał tartaki, papiernię i kuźnice, dla których setki wozów jeździło na Węgry, do Smiżan po surowiec. Kawał surowca, odlany na kształt progu kolejowego, nazywano gęsią. Góral brał na wóz zwykle dwie takie gęsi, które uderzając się nawzajem, wydawały pewnego rodzaju jęk żałosny, a kilkanaście wozów, jeden za drugim z tym surowcem, urozmaicały dolinę Dunajca i rzeki Kamienicy, melodyjnym graniem.

Za Kamienicą, na Szczawie były w kuźnicach młoty, od ich stuku, wydawało się, że Górcz się zwali na kuźnice. Pierwsza huta zwała się, na cześć p. dziedziczki "Kornelia": druga powyżej zwał lud "górnemi hamrami": W tych wyrabiano już narzędzia żelazne, kuto wozy, a całą pracownię kowalską prowadził Kurdzie, znany w okolicy jako nieźrównany kowal. Tu mieszkał także leśniczy Hanc, zawołany naturalista, pasiecznik i wypychacz ptaków. W tych kuźniach zatrudniano kilkanaście rodzin "hamerników": Papiernia sama zatrudniała parę set ludzi. Wyroby z tych fabryk szły w świat, wozami lub Dunajcem. Do fabryk, gospodarki rolnej i leśnej utrzymywał Marszałkowicz wielu oficjalistów, którzy wychowali dla kraju setki urzędników i rzemieślników. Dwór kamienicki był przytułkiem dla ludzi, którzy w walkach o wolność stracili zdrowie i mienie. Tu długie lata mieszkał i zmarł w r. 1857 Andrusikiewicz, organista. On to z ks. Kmietowiczem zorganizował powstanie w Chochołowie. Tu, aż do sprzedaży Kamienicy w r. 1872 mieszkał p. Ossowski. Jego to w roku 1846 chłopci w bocheńskim, okropnie pobitego, zawieźli do cyrkułu. Przesiedział on długi czas we więzieniu u Karmelitów we Lwowie i tam, na przekór Niemcom, z towarzyszami niedoli, śpiewał ułożoną przez siebie litanię: Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zgładź i tych wszystkich Niemców, by się tu nie rządzą, jak świnie w cudzym ogrodzie, Baranku Boży... zgładź i tego Niemca Pr.. .na, który mi 100 złr ukradł. Ze Lwowa przewieziono Bossowskiego do Szpilbergu, po amnestii, osiadł w Kamienicy.

Marszałkowicz, jako przyjaciel nauk, pobrał w swych wsiach szkoły dla ludu, a we dworze założył wielką bibliotekę. W niej pracowało dużo uczonych, w niej też czerpał źródła dla Sądecczyzny śp. Szczęsny Morawski, autor "Sądecczyzny": "Arjan Polskich" i wielu innych dzieł. Kamienica wydała licznych uczonych i ludzi piastujących wysokie stanowiska. Wspomnieć tu wypada o p. Szczepaniku, szefie sekcji w Ministerstwie Kolei.

W lipcu 1872r. przeniósł się Marszałkowicz do wieczności. Na pogrzeb zjechały się tysiące ludzi i setki, licznej jeszcze podówczas, szlachty ziemi Sądeckiej. Gdy nieboszczyka wniesiono do kościoła i ustawiono wysoko na katafalku, wyszedł na ambonę z mową pogrzebową ks. proboszcz Hudzicki, lecz silne wzruszenie nie dało mu mowy wygłosić, bo załedwo się przeżegnał, zalany łzami zeszedł z ambony. Jak skromny był żywot zmarłego, tak skromny pomnik, z białego marmuru na cmentarzu w Kamienicy, z napisem: "Maksymilian z Brzezia Marszałkowicz ur. 1806 + 1878. Panie świeć nad jego duszą!": wskazuje, gdzie wielki mąż spoczął. Takie charaktery spiżowe wychodziły z ówczesnych szkół, chociaż niemieckich; ale już wtedy siedział syn chłopca, szlachcica, mieszczanina i Żyda na tej samej ławie szkolnej, tu się wszyscy bratali i łączyli do wspólnej pracy nad dobrem ojczyzny i narodu.

Dzisiaj inaczej. Odkąd wielki astronom Halaj odkrył w dziecku chłopskim, mieszczańskim i żydowskim bakcyli zepsucia moralnego, potworzył dbający o dobro poddanych, Metternich, cieplarnie dla hodowania latorośli szlacheckich. Z tych cieplarni wychodzą rzeczywiście dobrzy i wierni poddani, bo wychowanek szkół takich, daleki od poważnej i wytrwałej pracy, zamiast osiąść na glebie ojczystej, zwiedza wszystkie

zagraniczne uniwersytety (Monako), wreszcie osiadłszy we dworze, uprawia sport psi, koński i automobilowy, wycina las, parceluje majątek, wynosi się do miasta i spogląda tu z poza swego herbu, który mu jedynie pozostał, na współrodaków, mieszczan i chłopów, "bez szkło z góry": Gdzież jednak mają się wychowywać obywatele ojczyzny? Myśleli o tem ludzie zacni i prawi, X.X. Czartoryski i Lubomirski chcieli na wzór angielski Założyć szkołę dla synów szlachty w Lusinie, pod Krakowem, ale dotąd o powstaniu tej szkoły nie słyhać.

Zdaje się, że cieplarnie temu przeszkodziły, obawiając się konkurencyi. Obawa ta zupełnie nie uzasadniona, bo poddanych przecie mogą cieplarnie nadal wychowywać, nam chodzi o wychowanie obywateli.

Z Kamienicy wracamy do Zabrzeży i obok zagrody Kurzeji, przez rzekę idziemy do osady Boczków. Przed nią wygon zarosły topolami i wierzbami, zwany tu "Nawsie": Na prawo stoi mała chatka, w niej od wieków mieszkali Kurzeje, trudniąc się za czasów polskich i austrijackich, pisarką gminną, stąd też i późniejszych właścicieli tej chaty zwano "pisarzami": chociaż nimi już nie byli. Powyżej, nad potoczkiem i na wzgórku, stoją skromne zabudowania; to mieszkanie Franciszka Cebuli, dobrego kowala, ślusarza i rusznikarza.

Tu mieszkał także dawniej bednarz Józef Karcz. Katarakta z czasem pozbawiła go wzroku, ale mimo to, wyrabiał bardzo dobre i ładne naczynia drewniane. W r. 1358 Konstancya, przełożona klasztoru sądeckiego, sprzedaje sołtystwo w Zabrzeży, braciom Pawłowi, Piotrowi i Janowi za 10 grzywien i oddaje im do tego sołtystwa, wieś Boczków. Stąd widać, że Boczków w onym czasie był odrębną wsią. W r. 1851 Boczków i Zabrzeż miały 3 łany kmiece, dwie zagrody bez roli, 140 sołtysi i piłę, trak, który około 1810 r. zniszczono, a w r. 1900 Józef Janczura odbudował. Gospodarstwa w Boczkowie dzielą się, na tak zwane role, obszaru około 32 morgów. Połowę tego obszaru zowią tu półrolem, a czwartą część - "ćwirtką": Ról tych było trzy, to: Kurzej owa, Bulandowa i Pierzgowa.

Z początkiem XIX w. połowa roli Kurzejowej, czyli tzw. półrole należało do Szymona Kurzeji. Skąd on się na tym półroli znalazł, kiedy i gdzie się urodził, niewiadomo, bo w 1801 r., za plebana Wojciecha Mrozińskiego, zgorzał kościół w Łącku, a z nim spaliły się metryki. Szymon ożenił się w Zarzeczcu ze Zofią Turek, która przyniosła do Zabrzeży niedawne wieści o konfederatach i wojnach Kościuszki, opowiadała je tak barwnie i dokładnie, jakby się na nie patrzała, chociaż konfederaci, przed jej urodzeniem, przechodzili przez Zabrzeż na Spiż, a w czasie powstania Kościuszki, była kilkuletnim dzieckiem.

Niedługo obejmuje Szymon wójtostwo w Zabrzeży i jako o dobro swej wsi dbały, tem mniej dworakom miły, często to wójtostwo utracił. Był on zawołanym gospodarzem, ogromne sady, duża pasieka, stada owiec i bydła, przynosiły mu znaczne dochody. Myślistwo, rybołówstwo na Dunajcu i rzece Kamienicy, uprawiał z zamiłowaniem, ale przy tym lubił i wódkę, po którą, z baryłką pod pachą, sam chodził na Szczereż, tam na kwartale w gorzelni, sam ją gradował i do domu przynosił. W tym sprawunku nie pozwolił się nikomu wyręczyć. Wyrabiał bardzo dobre nalewki, niemi częstował gości i sąsiadów. W spiżarni nie zabrakło, na zakąskę, suchej, domowej kiełbasy, schabów, serów i marynowanego łososia, a w piwnicy, syconego własną ręką miodu.

W r. 1848 Moskale rozłożyli obóz przed Kałużną, a starszyzna wojskowa gościła się u wójta Szymona. On oprowadzał ją po swoim sadzie i raczył owocami. Wdzięczni Moskale, wracając z Węgier, o wójcie Szymonie nie zapomnieli. Był to najbogatszy kmieć w okolicy, z jego domu gość głodny nie wychodził, ubogi lub pogorzelec doznawał wsparcia, ba! nawet i rząd austriacki, zaciągając podówczas przymusowe pożyczki, o wójcie Kurzeji pamiętał. Zmarł 15.IX.1855r. Przed śmiercią opowiadał, że ma 77 lat, przeto jego urodzenie przypadłoby na rok 1778. Pozostała po nim wdowa Zofia zmarła 27.1.1867 r. Drugie półrole Kurzejowskie, po ćwiartce należało do Steców i Lipieni, na roli Pierzgowej, zasiadł w połowie Tomasz Pierzga, a na dwu ćwirtkach Marcin Cebula i Tomasz Cebula. Na roli Bulandowej siedzieli na ćwirtkach Wojciech i Tomasz Bulandy, Józef i Franciszek Zbożnie.

Szymon Kurzeja zostawił czterech synów i dwie córki. Syn Józef, najstarszy, ur. w 1809 r., po naukach w Podolińcu na Spiżu i Jagrze na Węgrzech, został księdzem i jako wikary, zmarł w Wiśniczu w 1847 r. Drugi syn Michał, ur. w 1813 r., roku pamiętnym straszną wojną pod Lipskiem i śmiercią ks. Józefa Poniatowskiego, ożenił się na zagrodzie, pod nr. 27 w Zabrzeży, z Katarzyną, córką Macieja Karcza i Katarzyny z Bandyków. Trzeci syn, znów Józef, ożenił się na Wale w Łacku, wreszcie naj młodszy syn, Antoni osiadł na półroli po ojcu Szymonie. Starsza córka poszła za Baziaka na Wielę, młodsza, Marya - za Tomasza Cebulę w Boczowie. Zabrzeż z Wietrznicą zabrał rząd w r. 1782 zakonnikom starosądeckim i w r. 1799 sprzedał je Stefanowi hr. Skrzyńskiemu za 17.155 złr. ten w r. 1801 sprzedał znowu Ignacemu i Apolonii z Grodziskich, Chociatowskiemu za 71.000 złp. Chociatowski w r. 1827 połowę tych dóbr darowuje Jakubowi Chociatowskiemu, a po śmierci Apolonii Chociatowskiej, druga połowa Zabrzeży przechodzi testamentem na Jakuba Chociatowskiego i jego siostrę Salomeę z Chociatowskich, Myszkowską. Chociatowscy i Myszkowscy, mieszkając w Zabrzeży, zapisali się krwawo w pamięci tutejszego ludu, to też chłopci z radością powitali wiadomość, że dobra Zabrzeż, w połowie nabył w r. 1842 Maksymilian Marszałkowicz. Chociatowscy i Myszkowscy wnieśli się na Wolę Pikulinę, ale niestety Zabrzeż wydzierżawił Berek Krumholz z Kamienicy i osadził w Zabrzeży rządcę, Żyda, którego ludność dla ustawicznych przekleństw, "piorunem" nazwała.

Dwór, budynek drewniany, o malowanych pokojach, wznosił się poniżej wspomnianej kapliczki, w pięknym ogrodzie, przeciętym młynówką, za którą była duża aleja grabowa, murowana strzelnica i altana. Na wzgórzu, nad kapliczką, były obszerne piwnice, do których przy- wiązanych było mnóstwo podań o królach, skarbach i zbójach. Na tych piwnicach stał, niezawodnie dwór w dawnych czasach. Zabudowania gospodarskie z kamienia, a to stodoły, staj nie, spichlerz o greckich słupach z lamusem i nieodzowny areoszt, "sodzą" zwany, były to budowle nowsze. Michał Kurzeja miał ogromne zamiłowanie do nauki i pracy, był człowiekiem, który myślał zdrowym, chłopskim rozumem i ten rozum kształcił.

Osiadłszy na ubogiej zagrodzie Karczów, w r. 1848 wybudował młyn, zakupywał lasy w Ochotnicy i spławiał drzewo Dunajcem do Tarnowa, prowadził handel solą i żelazem. Gdy tylko, pierwsi synowie Mikołaj i Piotr podrosli, posłał ich do gimnazjum i od nich nabierał dalszej wiedzy. Owdowiawszy w r. 1840, pojął drugą żonę, Maryę z Dudów i z niej doczekał się liczego potomstwa. Znany we wsi i okolicy ze swego rozsądku i prawego charakteru, zyskał sobie szacunek i zaufanie w szerszych kołach. Ks. Kasper Czekajski, proboszcz w Łacku, porucza mu odbiór dziesięciny w Zabrzeży, około 1854 r. naczelnik powiatu w Krościenku Kozel, ojciec niedawno zmarłego ministra skarbu, powierza Michałowi pisarstwo gminne i odbiór podatków.



Michał Kurzeja
fot. z 1876 r.

Przez długie lata pracuje Michał wydatnie w radzie powiatowej, za jego staraniem przychodzi do skutku budowa mostu na Dunajcu, obok Gołkowice.

Nie może on ścierpieć przykrego panowania Żydów we dworze, więc z Franciszkiem Hużą i Tomaszem Cebulą, jedzie do Kamienicy i prosi Marszałkowicza, by kontraktu dzierżawy z Berkiem nie odnawiał, tylko Zabrzeż chłopom sprzedał. Z trudem uzyskali oni przyrzeczenie dziedzica, a trudniej było o 40.000 złr., które dziedzic za wieś żądał. Lecz ludzie ci nie stracili głowy, pozbierali swoje oszczędności, dali zadatek i szukali nabywców. Żydzi, dowiedziawszy się o tem, puścili bajkę między lud, że dziedzic dlatego wieś sprzedaje, bo rząd wnet będzie panom grunta odbierał i darmo chłopom rozdawał.

Ta bajka poskutkowała i wielu gospodarzy poodbierało zadatki, ale ci trzej mężowie nie upadli na duchu, pożyczili pieniędzy w Banku Włościańskim, wieś zapłacili, a parcelację już szła gładko.

Nie całą Zabrzeż kupili chłopci od razu, bo budynki dworskie i 20 morgów, przylegającego do nich gruntu, kupił wspomniany p. Bossowski dla siebie. W 1882 r. przeniósł się do Starego Sącza i tę resztę dworu, kupili chłopci, rozebrali stodołę i stajnię, nieszczęsny areoszt kupił Piotr Marek i dziś jego spadkobiercy, w tej sody jabłka przechowują. Ossowski zmarł w Starym Sączu około 1890 roku.

W roku 1872 wynoszą się Żydzi ze dworu, a Kurzeja z Cebulą przeprowadza parcelację. Dwie córki wydał już za mąż i mimo rat, które za nabyty grunt spłacał, dalszych synów, Antoniego i Piotra młodszego oddaje do gimnazjum, bo też w Zabrzeży każdy chłop kochał naukę i dzieci, i posyłał je do szkół. Między rokiem 1870 a 1880 Zabrzeż miała 8 gimnazjalistów, Huzy, Kurzeja, Baziaki, Faron, wreszcie Walenty Szczepaniak. Wszyscy żyli w Sączu bardzo ubogo, ale uczyli się dobrze. Najuboższy Szczepaniak wybrał się do gimnazjum w 20 roku życia. Człęk pełen talentu, a przy tym pracowity, nie zrażał się przycinkami, jakimi mu profesorzy dokuczali, ale uczył się pilnie. Gdy go jeden z profesorów pytał, dlaczego tak późno wybrał się do szkoły, odparł, że lepiej później, niż nigdy, gdy znów drugi mu rzekł: "ty bałwanie po coś tak późno poszedł do szkoły?" - "Bym do śmierci nie został bałwanem" - odrzekł Szczepaniak. Zaciągnięta na 16 lat pożyczka, spłaca się powoli, Kurzeja z Cebulą zbierają raty i odwożą do Sącza, aż wreszcie w roku 1888 chłopci pozbywają się rat. W 1884 r., umiera Tomasz Cebula. Był to człek zacny i Polak prawy. Za młodu uczęszczał do gimnazjum w Podolińcu. Młodszym prawił dużo o konfederatach i Kościuszcze. Dnia 20.VIII.1893 r. przeniósł się i Michał Kurzeja do wieczności. Skromny krzyż dębowy, na cmentarzu w Łącku, wskazuje gdzie spoczął mąż, który kochał gminę, kochał swe dzieci i nie skąpił im na nauki. Wyrządzilibyśmy mu wielką krzywdę, gdybyśmy nie wspomnieli, że dom jego był zawsze otwarty. Do niego zjeżdżali się urzędnicy i myśliwi, bo zmarły był zwołanym strzelcem. Przyjście na świat młodych gończaków obchodzono tu uroczystie.

Polowania z gończakami w Zabrzeży należały do osobliwości, ze względu na teren korzystny i obfitość zajęcy. Dźwięk rogu myśliwskiego i miłe granie tych psów, ożywiały góry zabzeskie.



ks. Michał Zbrzeski



Piotr Kurzeja



Antoni Kurzeja

Dziś tam już głucho, a gończaka na całym Podhalu nie znajdzie. Przeszedł i on do historii. Z synów Michała Kurzeji pozostają: ks. Mikołaj w Cieszynie, Piotr w Dobromilu, Antoni w Brodach, Karol odziedziczył jego zagrodę, Piotr młodszy i Franciszek w Krakowie, Ignacy zmarł w 1877 r. Córki: Katarzyna Pierzgowa, Marya Janczurowa w Zabrzeży, Salomea Babikowa w Maszkowicach.

Druga jego żona Marya z Dudów w 1890 r. spoczęła obok kaplicy na cmentarzu w Łącku, tam też spoczęły najmłodsze córki Małgorzata Potońcowa i Anna Bulandowa, ale pogrzebane obok ojca. Ks. Mikołaj, dobiwszy się stanowiska, pomagał ojcu spłacać grunta i kształcić młodsze rodzeństwo. Znany on, jako lekarz homeopata.

Zmarł Cebula, zmarł i Kurzeja, z tej trójki pozostał tylko Franciszek Huza. Przypatrzmy się mu bliżej: mały wzrostem, ale charakterem Antoni Kurzeja i duchem wielki, żelaznej mocy woli i stalowego zdrowia, z początkiem wieku XIX na świat przyszedłszy, z początkiem XX stulecia, ziemskiej dokonał pielgrzymki. Rówieśników swoich, wśród których w dziejach i życiu rodzinnej swej wioski, wybitną odegrał rolę, przeżywszy lat wiele, jakby arką przymierza stał się między dawnymi a młodszymi laty i jakby jaśniejszą pozostał pochodnią żyjącej minionych czasów tradycji dla nowych, nowego stulecia pokoleń. Jak ów "kmięć stuletni": co " trącając kości żelazem oraczem": stanął i zagrał na wierzbowej fletni, pacierz umarłych, lub rymowanym płaczem was głosił, wielcy ojcowie bezdzietni - tak nieraz sędziwy staruszek wzrok swój tęskny, w przeszłości zatopiwszy toniach i myślą w krainę uleciawszy pamiątek, z bogatego skarbcza ogromnej, nadzwyczajnej pamięci, przecudne rzucał barwnych opowiadań klejnoty, chciwie je chłonącym, licznych słuchaczy zastępom. - To, na co sam patrzył, co sam przeżył, czego sam był świadkiem, jak również to, co od starszych, a zwłaszcza od swej zasłyszal matki, wszystko wiernie i żywo przechowując w pamięci, wymownymi chętnie opowiadał usty.



Franciszek Huza

I słuchało się tej pieśni przeszłości, raz rzewnej, tęsknej, wzruszającej, jakby śpiewki jaskółki lub mruczenia głuchego, spokojnego potoczka, to znów żywiej, weselej. Radośniej brzmiącej, jakby wesołego szczebiotania ptasząt w gajku na wiosnę, lub wartkich fal Dunajca pluskania, lub wesołością i dowcipem tryskającej, jakby szum kaskad, wody Potoka obok płynącego jego ukochanej Huzówki. Był tam barwny, a wierny opis zdarzeń prawdziwych, tak ogólniejszego, jak lokalnego znaczenia, było opowiadanie płynne historycznych i osobistych faktów i wypadków, były legendy pobożne, były wierzenia pogańskie i zabobonne, były prześlicznie odmalowane obrazki poetyczne, bajki zajmujące i zagadki ciekawe, a była tego taka rozmaitość, taka obfitość, że całe można nimi zapełnić tomy.

Szkoda i wielka że tego nie spisano, nie wydano, bo od bajek i opowieści Sabały zakopiańskiego, te daleko były piękniejsze. Ale nie tylko duszą poetyczną i niezwykłą pamięcią, obdarzył go Pan Bóg. Dał mu i rozum zdrowy, jak woda źródłana jego Bargołka i energię do czynu i działania, silną jak Dunajca prąd wartki i wolę stałą, niewzruszoną, jak głązy sąsiednich mu Wdзорów.

Za czasów pańszczyźnianych urodzony, lata młodości swojej w poddaństwie i pracy dla pana we dworze przeżył. A choć czuł dobrze, "że urodzony w niewoli, okuty w powiciu" - i wiosnę wolności włościan, największą w swym życiu powitał radością, przecież nigdy nienawiść ślepa ku panom, ku obszarnikom, nie zagościła w jego sercu, jaka niestety, liczne

owładnęła rzesze ludowców i socyalistów. Choć niewykształcony, bo szkoły nigdy nie widział, czuł i rozumiał, że jest Polakiem, a czując się Polakiem, kochał Matkę Ojczyznę, której historii chętnie słuchał, a później, sam się czytania wyuczywszy, w niej chciwie się rozczytywał. Niezgoda, mawiał" do upadku przywiodła Polskę, niechże zgoda ją odbuduje" i powtarzał nieraz słowa poety: "to dopiero cudów cud, z szlachtą polską, polski lud",

A widząc, że lud ten acz nie ze swej, ale z panów i rządu winy, ciemny, nieoświecony, a wskutek braku oświaty, moralnie i materialnie, ekonomicznie i narodowo zacofany i nisko upadły, wołał i błagał o "oświaty kaganek": ustawicznie zabiegał i kołatał o szkołę w Zabrzeży, której nareszcie doczekał się pod koniec swego życia. Sam na sobie brak wykształcenia szkolnego odczuwając, własnym przemysłem nauczył się czytania, pisanie i rachunków, a wszystkie swe dzieci, bez wyjątku, posyłał pilnie do szkoły, choć bardzo odległej w Łącku, aby jak mawiał, żadne nie pozostało ślepe, bo ślepotą to największe kalectwo. Choć w ciężkich warunkach i z uszczerbkiem własnym, trzech synów wysłał do szkół wyższych. A kiedy jeden z nich notariuszem, drugi księdzem a trzeci respicyentem został straży skarbowej, cieszył się, że ich "na ludzi" wyprowadził i chlubił się nimi zawsze.

Zagrodę po ojcu otrzymawszy w spadku, mimo klęsk kilkakrotnych, ciężkich nieurodzaju, ognia i mimo wydatków na utrzymanie i kształcenie 12 dzieci, pracą wytrwałą, wyteżającą i ciągłą, zachował całą, podniósł, a nawet powiększył znacznie, przez nabycie kilku morgów, gruntów dworskich.

Kiedy obszar dworski w Zabrzeży sprzedać miano, on pierwszy współobywateli poruszył i zachęcił, by grunta dworskie wprost od właściciela zgodnie nabyli, aby dwór w ręce żydowskie się nie dostał, z których potem jedynie z nadwyżką lichwy ogromnej wykupić by go mogli. Zabiegi jego i starania, pomyślny uwieńczył skutek, cały obszar dworski przeszedł na własność chłopów, z których każdy paru morgami, najlepszej gleby, powiększył posiadłość swoją. Projekt, by wraz z dworem nabyła gmina propinację dworską, która jako złoty przedstawiała się interes i której nabycie dawało Gminie możliwość pozbycia się Żyda, będącego zawsze i wszędzie rozsądnikiem pijaństwa, wyzysku, zdziczenia i niemoralności wszelakiej, mimo przedstawień próśb starego Huzy, przez głupotę, krótkowidztwo, a może i złą wolę współobywateli jego, nie został niestety ziszczone.

Co by on dziś powiedział, gdyby się dowiedział i zobaczył, jak niby najświatlejsi i oświeceni obywatele Zabrzeży, dobrowolnie uchwalili jarzmo niewoli karczmy żydowskiej poddać swe karki? O gdyby dziś ożył, umarłby na ten widok i w grób się położył. Jak ziemię i zagon praojców, tak kochał zwyczaje, obyczaje i stroje dawne, ludowe.

Postępu rozumnego przyjaciel i zwolennik gorący, wrogiem był nieubłaganym niepotrzebnych i szkodliwych nowostek. Malowniczo wyszywaną i guziczkami cynowymi zdobną gurbanę góralską, szeroki, sprzączkami, wisteczkami mosiężnymi obwieszony pas i kapelusz mosiężnym, otoczony łańcuszkiem, cały strój staroświecki z pietyzmem i dumą nosił aż do samej śmierci. Z żalością i wzgardą patrzył na młodszych, którzy w żydowsko - niemieckich tandetnych szmatach ubrani, w dzień świąteczny paradowali w drodze do kościoła. Znała go nie tylko cała wieś, ale parafia i dalsze okolice, jako prawego, uczciwego człowieka, jako rozumnego i rozsądnego gospodarza, to też nic dziwnego, że wójtem chciano go mieć koniecznie i wszelkimi do przyjęcia urzędu tego zmuszano sposobami. Że zmuszony, nie dla korzyści i zysku, nie dla próżnej chwały i zaszczytu ten urząd przyjął i dla dobra współobywateli swoich go piastował, wystarczy wspomnieć jeden tylko rok wójtostwa jego, rok 1873, w którym

straszna cholera, liczne porywająca ofiary, panowała w Zabrzeży.

Z jaką odwagą, z jaką ofiarnością i poświęceniem oddawał się chorem, którym niósł słowa pociechy, pomocy i lekarstwo, opowiadają dziś jeszcze z podziwem i uznaniem we wsi całej. I gdy naj bliżsi nawet, obawą zdjęci, opuszczali swych chorych i uciekali od umarłych swoich, on nieustraszony i niezmordowany, jak anioł pocieszyciel, od jednego do drugiego

przelatywał chorego i wszystkich zmarłych, własnymi rękami kładł do trumny i na wiejskim, miejscowym grzebał cmentarzu. Tę wielką miłość bliźniego, już na tej ziemi mu nagradzając, dał mu Stwórca Wszechmocny zdrowie stalowej siły i długą, pogodną jesień życia, piękną i radosną, bo pozwolił mu widzieć wszystkie dzieci w zdrowiu i mające zabezpieczoną przyszłość. Odszedł z tej ziemi do Boga po zapłatę, wierny i dobry sługa, za długoletnią i wytrwałą pracę, pozostawiając w sercach wielu, którzy czcią, szacunkiem i miłością otaczali go za życia, szczerzy serdeczny i głęboki żal i smutek, oraz pamięć świętą, która niejedno jeszcze przetrwa pokolenie.

W krótkich, lecz trafnych słowach scharakteryzował go, znający dobrze owce swoje i dla ich dobra, poświęcający się pasterz, ks. proboszcz Piaskowy: sprawiedliwym go nazwał sprawiedliwym wobec Boga, sprawiedliwym wobec bliźnich i sprawiedliwym wobec siebie. A rzadka to cnota! Niechże jako sprawiedliwy, wedle słów Pisma św. okryje się kwieciami, jako palma i rozmnoży jak cedry Libanu! Takich obywateli włościan daj nam Boże więcej!



Michał Huza

Synowie jego a to: Pan Michał Huza, ukończył wydział prawa na uniwersytecie w Krakowie. Praktykę notarialną odbył w Jordanowie. Ożeniwszy się z panną Łukowską, osiadł w Ciężkowicach i tu swym szlachetnym charakterem, uczciwą i rzetelną pracą dla dobra ogółu, zjednał sobie miłość i zaufanie społeczeństwa. Po kilku latach przenosi się do Grybowa i miasteczko to zyskuje w nim najdzielniejszego obywatela. Nic więc dziwnego, że za poprzedniej kadencji, wybrano go, jednogłośnie posłem na sejm krajowy. W sejmie pracuje w wielu komisjach, a dbając o dobro swych wyborców, wyjednał w sejmie, dla powiatu grybowskiego, kilkadziesiąt kilometrów dróg. Pan rejent był również gorliwym członkiem komitetu budowy prześlicznego kościoła w Ciężkowicach. Ks. Wojciech, odznaczał się niebywałym talentem w gimnazjum. To też nawet po ukończeniu teologii, szlachta chciała go mieć nauczycielem swych dzieci. Na górze ukrzyżowania, obok Kalwarii, wynajmuje tam mieszkanie i uczy tam Litwinów, Żmudzinów i Kurlandczyków. Jako wikariusz, uporządkował bibliotekę kościelną w Zatorze. Obecnie osiadł w Grybowie i słynie jako dzielny kaznodzieja i prawy kapłan.



ks. Wojciech Huza



Tomasz Huza



ks. Walenty Szczepaniak



Franciszek Zbozeń

Najmłodszy, Tomasz, znany z gorliwości służbowej, rzetelności i prawego charakteru, doczekał się zaszczytnego stanowiska w korpusie straży skarbowej. Biedny tylko, drogi nam wszystkim, ks. Walenty Szczepaniak. Ciężka choroba powaliła go w Mędrzychowie. Miejmy w Bogu nadzieję, że nasz złotousty kaznodzieja i dzielny pisarz, jeszcze do zdrowia powróci i dla dobra ojczyzny pracować będzie. Wspomnieć jeszcze nam trzeba o dzielnym Zabrzeżaku, panu majorze Franciszku Zbożniu. Podobnie, jak śp. Turka, porwali i jego Austriacy w r. 1863, ze szkół w Sączu i wcielili do wojska. Tam pracą, nauką i talentem dobił się stanowiska. W bitwie pod Sadową w r. 1866 ranny, jako artysta malarz rysownik, pracował lata w Geograficznym Instytucie Wojskowym i często zjeżdżał do brata Piotra w Zabrzeży ze śp. małżonką, kobietą zacną i urodziwą, która choć z domu Niemka, ukochała nasz lud i mowę polską i władała nią, jak rodowita Polka, Pan Zbozeń bawi na pensji w Baden, koło Wiednia.

Zdawałoby się, że po wypłacie gruntów, nastąpią w Zabrzeży jeszcze lepsze czasy, że gospodarze raty składane w Banku, obrócą na kształcenie dzieci w szkole i rzemiośle. Niestety! Złoty wiek Zabrzeży minął i poszedł z Huzą do grobu. Na wieś, liczącą 960 mieszkańców, największą w parafii, nie ma ani jednego studenta. Tu chłop orze swoim dzieckiem, jak murzynem, nie zajmuje się ani polityką, ani czytaniem gazet, grosz zarobiony przez dzieci i dochód z gospodarstwa, dusi w skrzyni aby, gdy w 70 roku życia owdowieje, mógł się ożenić z 16-letnią dziewczyną i ją po sobie ubezpieczyć. Dziś całą polityką gminy kieruje mądrze, a nieznacznie, propinator.

W czasie rozruchów w 1898r. chowali Żydzi, np. wójta w Zabrzeży swą gotówką. Nie bierzemy za złe tego p. wójtowi, bo nie jesteśmy zwolennikami polityki nienawiści, polityki mordy i rabunku, owszem w Żydach widzimy tak samo ludzi, ale gdy się uwzględní, że oprócz Łącka, nie ma w parafii tylu Żydów, co w Zabrzeży, bo aż cztery gniazda, to musi nas ogarniać obawa, że Żydzi w tej wsi wyrządzą straszne spustoszenia materialne, i że pomni dobrodziejstwa p. wójta, z wdzięcznością obejmą kiedyś po nim zagrodę, a obawa ta, tem bardziej uzasadniona, że p. wójt swoich dzieci, ani w szkole, ani w rzemiośle nie kształci. Poskupywali oni tu dużo gruntów chłopskich. Braku serca dla swoich dzieci, braku życzliwości dla chłopca, katolika, wreszcie braku myśli i rozumu, dali Zabrzeżacy dowód, głosując wszyscy za nadaniem szynku Żydowi. To hańba! W całej parafii, żadna wieś tak głupio nie postąpiła. Człowieka pracy i nauki Zabrzeżak nazwie wtedy bratem, gdy się za to spodziewa dobrej zapłaty. Skromna gotówka, to szczyt jego rozumu.

Niezaślęgo w Zabrzeży odezwie się lokomotywa, od Kałużnej przyjdzie kolej do Szczawnicy i Kamienicy. Ma tu ks. Piaskowy wybudować kościół z klasztorem, dla xx. Emerytów. To wszystko, ściągnie tu jeszcze większą ilość Żydów; by was, Zabrzeżacy, Żydzi prędko z gruntów nie wyrzucili, obierzcie propinatora Mośka, którego tak skwapliwie przyjęliście do gminy, wójtem, a Żyd wójt was skutecznie przed zalewem żydowskim, we własnym interesie, bronić będzie i ze wstydu, choć Żyd popchnie wieś na tory myśli i nauki, obudzi was z umysłowej śpiączki. Tego dowodem burmistrze Żydzi po miastach. Zabrzeż, to najpiękniejsza wieś z opisanych. Ludzie po pracy i mozolach mogliby tu znaleźć najmiłszy kątek dla wystchnienia i wypoczynku.

Ale uciekajmy stąd, bo tu brak serca dla dzieci, dla krewnego i dla bliźniego. Książka i nauka ma tu wstęp wzbroniony, noc ciemna, zimowa zapadła tu, zdaje się na zawsze. Zabrzeż nie wyda już studenta i uczonego, płodzić będzie jedynie niewolników dla Prus i Ameryki! A kto temu winien??! Zabrzeż, to jedyna wieś tej nazwy na ziemiach polskich. Na Litwie, w powiecie oszmiańskim, nad rzeką Bodnarówką, jest jeszcze druga wieś Zabrzeże

Mijamy Boczków, z prawej strony resztki Gorcza, kończą się stromo, ich zbocza to piękne kamieniołomy. Na szczycie Czubań z piękną jaskinią. Z lewej strony szumi czysty Dunajec, za nim wioska Zarzecze i dojeżdżamy do Wietrznicy. To również bardzo miłe i lubie ustronie. Za Dunajcem piękny las bukowy, Sobolem zwany.

Nad Wietrznicami wznosi się warowny gród, o którym Morawski wspomina w "Sądeczyźnie": Droga skręca na zachód, mijamy uroczysko pagórki brzoza porośnięte. Na lewo rozciąga się, nad Dunajcem, piękna równina. Tu obozowali Szwedzi za Jana Kazimierza i armia króla Sobieskiego, ciągnąc pod Wiedeń, tu obozowali Konfederaci i po nich zapewne pozostał tu kmiotek, pochodzący z Podola, zwany Podolskim. Dom jego wznosi się pod górą, nad stromym, skalistym i wysokim brzegiem Dunajca.

I znów przed sobą mamy nową panoramę Tylmanowej i Lubania. Tu żegnamy cię nasz czytelniku i życzymy ci najlepszego wywczasu w Krościenku lub Szczawnicy.

Oświata w parafii łackiej

Powiat polityczny nowosądecki, należy do pięciu powiatów Galicyi, najbardziej pod względem oświaty upośledzonych. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że na 160 gmin polskich, 60 nie posiada dotąd szkoły, a na 25 ruskich wsi, zaledwie 3 wsie nie mają szkół. Bolesny stąd wyłania się wniosek. Polacy, chlubiący się swą wyższą kulturą, mniej dbają o oświatę szerokich warstw ludu, aniżeli Rusini. Może to, dlatego, by nie było mowy o ruskiej krzywdzie? Wobec tego niewiele da się powiedzieć o oświacie parafii łackiej. Być może nawet, że jest najbiedniejszą w szkoły ze wszystkich parafii całego kraju.

Na 12 gmin, należących do parafii, 7 dotąd nie posiada żadnej uczelni! Trudno nawet przypuszczać, by gdziekolwiek mogło być gorzej. Widocznem jest, że stosunki zmieniły się na gorsze, bo początki szkolnictwa ludowego tej parafii sięgają bardzo odległych czasów. Najstarszą szkołą w tej parafii była szkółka w Łacku, zorganizowana jeszcze w r. 1577 przez p. Dorotę Bylicką, ksienię pp. Klarysek w Starym Sączu. Szkołę tę, u mieszczo w osobnym budynku, odstąpionym na ten cel. Nie można utrzymywać, by szkółka ta odpowiadała wysokim wymogom dzisiejszym, bo budynek szkolny służył zarazem jako szpital, tudzież, jako mieszkanie organisty i dziadów kościelnych. Nie było też, fachowo wykształconych, sił nauczycielskich. Nauki udzielał organista, przy pomocy ks. proboszcza. To też suma wiadomości, jaką uczniowie z niej wynosili, była niewielką. Dużo umiał, kto nauczył się czytać, jako tako książkę drukowaną, a już za uczonego, uchodził ten, co przyswoił sobie ministranturę, lub jeszcze zawilszą, sztukę pisania.

Pamiętać jednak trzeba, że w owych czasach, o powszechnej oświacie ludu, nikomu się jeszcze na świecie nie śniło, nie mówiąc już o powszechnym uznaniu potrzeby takiej oświaty. Początek jednak był dany, a świadczy on chlubnie o naszych przodkach. Czwarty już wiek mija od owej chwili, w której położono tu podwalinę, pod gmach oświaty ludowej. Gdybyśmy więc tylko o tem wspomnieli, sądziłby niej eden, że następczyni tej ksieni, względnie ludzie, miłujący oświatę, założą szkoły w dalszych wsiach i wytepią analfabetyzm, niestety, rzecz się miała inaczej, co smutno o nas świadczy. Długie jednak lata jeszcze upłynęły, zanim szkoła ta rozwinęła się należycie. Stało się to dopiero w drugiej połowie XIX wieku, gdy powstały seminaria nauczycielskie, dostarczające szkolnictwu sił fachowo wykształconych, a zarazem zrozumienia potrzeby oświaty u szerokich warstw ludności wzrosło, powodując większy napływ dziatwy. Od tego czasu szkoła łacka rozwija się szybko. W r. 1856 zorganizowały ją austryjackie władze szkolne, jako tzw. "Trivial Schule" i przydzieliły ją pod nadzór c.k. starostwa w Krościenku.

System nauki pozostał jednak taki sam, jak w czasie założenia, przed trzema wiekami, gdyż i teraz nauki udzielał człowiek tak fachowy, jak organista, któremu jednak już dodano pomocnika. Wydatki na utrzymanie szkoły czerpano z dodatków i procentów obligacji wsi parafialnych. Ostatnim takim nauczycielem, organistą był tu śp. Franciszek Gruziński, zmarły około 1870 roku, a jego pomocnikiem, dotąd żyjący w Gołkowicach, p. Kasper Biegański. Ale i tak zorganizowana szkoła, nie spełniała należycie swego zadania, gdyż szkoła dawniejsza, owiana była duchem polskim, w tych zaś czasach, stała się siedliskiem germanizacji, starano się przez nią wykorzenić poczucie polskości i odrębności narodowej u szerokich warstw ludu i zrobić z dzieci polskich przyszłych wrogów ojczyzny.

Służyły do tego osławione "Sprach zeicheny": była to tabliczka, rozdawana między dzieci z poleceniem udzielania jej drugiemu dziecku, gdy przemówi po polsku. Kto taką tabliczkę przyniósł do szkoły, prócz plag, otrzymał dużą tablicę, żółtą z czarnym osłem i z tą tablicą, zawieszoną na szyi, musiał wracać do domu, naigrawany przez gawieź uliczną i zdemoralizowanych systemem szkolnym, kolegów. W ten sposób wszczepiano w duszę

dziecka jad szpiegostwa i denuncyacji i starano się zabić poczucie godności narodowej, ucząc, że miana Polaka i mowy ojczystej, należy się wstydzić i wystrzegać, jak zbrodni. Taka tablica, z czarnym osłem, była w szafie II klasy szkoły łąckiej jeszcze w 1871 r. i nie wiadomo co się z nią stało, a szkoda, że zginęła, bo mogła w muzeach szkolnych "zdobić" system austriackiego wychowania.

W r. 1873 przekształcono tę szkołę na dwuklasową. W tym czasie kierownikiem był tu już kwalifikowany nauczyciel śp. Ferdynand Sośniak, człowiek wielkiej prawości, dbały o oświatę ludu, on to wielką liczbę synów chłopskich, popchnął do gimnazjum. W dwanaście lat później, dostaje szkoła trzecią siłę nauczycielską, w roku 1893 - czwartą, w 1899 - piątą, w r. 1901 - szóstą siłę i tego roku, przekształcono ją na szkołę czteroklasową, o 6 siłach nauczycielskich.

Znacznie dawniej, bo jeszcze w 1857 r. powstała szkoła w Zagorzynie i ta, po łąckiej, jest najstarszą w parafii. Mówiąc o szkole w Zagorzynie, musimy poświęcić choć parę słów, jej pierwszemu nauczycielowi, śp. Adamowi Półkozic Czarnekowi.



Adam Czarnek

Urodził się w Krzywcy pod Przemyślem, z Tekli Winnickiej i Józefa, którego Niemcewicz wymienia w pamiątnikach, jako swego kolegę ze szkół kadeckich. Był jednym z 9 rodzeństwa, wychowany w szkole przemyskiej, gdyż ojciec jego, dawny oficer kawalerii, który brał udział w kilkudziesięciu bitwach napoleońskich w Europie i Afryce, osiadł po upadku Napoleona, w okolicy Przemyśla. Osierocony wcześniej, zawdzięczał swe dalsze wychowanie, szwagrowi Rybackiemu. Bardzo wczas, bo już jako 14 letni, zaczął pracować na utrzymanie i zmienne koleje życia, zagnały go do Łącka, na posadę nauczyciela, gdzie w szkółce, zasłynął ze swych zdolności pedagogicznych, umiłowania diatwy i ludu. To też gdy w r. 1857 otwarto szkołę w Zagorzynie, zwrócili się do niego śp. Józef Myjak, dziadek obecnego posła na sejm krajowy i Józef Jaworski, z prośbą, by objął kierownictwo tej szkoły. W skutek tego przeniósł się śp. Adam do Zagorzyna i pozostawał tam, aż do swej śmierci w 1889r., kierując szkołą przez lat 32. jak skutecznie i chlubnie spełniał swoje obowiązki, dowodzi najlepiej to, że wychował całe legiony ludzi, zajmujących jeszcze dziś wybitne stanowiska w społeczeństwie.

W 1901 roku powstają w parafii łąckiej dalsze szkoły, a to w Maszkowicach i Kiczni, a w 1906 roku w Zabrzeży.

Przez długie lata młodzież męska, skończywszy naukę w Łącku lub zagorzyńskiej szkole, śpieszyła do szkoły starosądeckiej, a ukończywszy tam IV-tą klasę, zapisywała się do gimnazjum w Nowym Sączu. Dziś zmieniło się o tyle, że ze szkoły w Łącku idzie młodzież do gimnazjum w Nowym Sączu.

Dzisiejsza szkoła w Łącku ma 6 sal naukowych i mieści się w dwóch budynkach, z których nowy wystawiono w r. 1907. Jako skromna szkołka ludowa, nie święciła nigdy szumnych i głośnych jubileuszków swego wiekowego istnienia. Nie wiele też o niej wiedzą poza parafią. A jednak, choć w cichości i bez rozgłosu, spełnia włożone na nią obowiązki, w miarę sił swoich, niekiedy i nad siły, będąc często pozbawioną opieki jednostek, przodujących miejscowemu społeczeństwu, co gorsza napotyka ona, niejednokrotnie, na trudności, których źródłem małostkowe ambicijki, brak ducha prawdziwie obywatelskiego u osobników, którzy zamiast przeszkadzać, o jej rozwój starać się powinni.



Stanisław Wilkowicz



Józefa Pawlikowska

Nad rozwojem umysłowym, przeszło 400 dziatwy pracują jako kierownik, p. Stanisław Wilkowicz, Eugenia Iwancewowa, Bronisława Cabalska, Karolina Kwiatkowska, Wojciech Śliwa i Edward Skoczowski, jako nauczyciele, wreszcie gorliwy pracownik i miłośnik dzieci, ks. Józef Marzec, katecheta. Wspomnieć tu musimy chlubnie o pani Józefie Pawlikowskiej, która tu z wielką sumiennością i gorliwością, udzielała nauki przez lat 25, tudzież o ks. Antonim Kurasiewicz, proboszczu w Woli Rzędzińskiej, który pracując przy tej szkole długie lata, jako katecheta, popchał wiele młodzieży do gimnazjum.

Ilość dzieci w 3 niższych klasach, jest znacznie większą od tych w klasie I mimo, że do klasy tej zapisują się i dzieci ze szkół sąsiednich. Przyczyna ta w tem, że dzieci uboższe, poprzestają na ukończeniu klasy III, i idą na służbę lub do rzemiosła, a klasę czwartą, kończą tylko zamożniejsi, mający zamiar uczyć się dalej. Dziwnem jest, że liczba tych szczęśliwców, którzy otrzymują wyższe wykształcenie, jest dzisiaj znacznie mniejszą, jak w latach dawniejszych, kiedy szkoła łącka nie posiadała jeszcze IV klasy, gdyż ze wzrostem szkolnictwa i oświaty, należałoby się spodziewać raczej objawu przeciwnego.

Winę przypisać należy, brakowi zachęty ze strony właściwej. A i ci, nieliczni prawie, nigdy nie wracają na zagon ojczysty, lecz szukają chleba we świecie, to też oświata w parafii nie wzrasta tak szybko, jakby należało, przeciwnie, stoi dziś jeszcze dość nisko. Nie dziw, że wśród starszych jest jeszcze dużo analfabetów, gorzej, że i młodzi nie starają się rozszerzyć wiadomości nabytych w szkole, ale przeciwnie, zapominają to, czego się nauczyli i na starość już i czytać nie umieją. Przyczyną tego mała chęć do czytania książek, po opuszczeniu szkoły, gdyż młodzież goni chętniej za rozrywkami niższego rzędu, przynoszącami stokroć więcej szkody, jak korzyści.

Nie brak usiłowań ze strony społeczeństwa, zmierzających do usunięcia tego złego. Do zaopatrywania ludu w książki, są w parafii trzy czytelnie. Pierwsza w Łącku, najstarsza, dziwnej doznała kolei losu. Założona, za inicjatywą śp. ks. Pociłowskiego, ze składek publicznych, zasilona później przez Krakowskie Towarzystwo Oświaty Ludowej, zostawała pierwotnie pod zarządem szkoły i mieściła się w domu Kłaga na Kamieńcu. Nie ziściła pięknych nadziei, które rokowała. Przyczyny tego szukać należy w tem, że ją przeniesiono bezpotrzebnie na probostwo. Od tego czasu, upadła ona zupełnie, do tego stopnia, że jedyną pamiątką po niej, to napis zdobiący, jedną z sal probostwa. Przez to wyrządzono straszną krzywdę ludowi, bo na zgromadzenia i na pogadanki, została mu się jedynie karczma. A przecież ta czytelnia mogła stać się zawiązkiem domu ludowego, w którym obok czytelnia, mógł się znaleźć sklepik kółka rolniczego i gospoda chrześcijańska. Lud, gromadząc się w tym domu, zapomniał by dawno o karczmie i nauczyłyby się używać, straconego tam grosza, na szlachetne, własne cele. Tak postępuje duchowieństwo ruskie, które budując po parafiach domy ludowe, ze sklepem, szynkiem, czytelnią i salą teatralną, odzwyczaiło lud od karczmy i

z chłopca -lenia i pijaka, zrobiło prawego i wzorowego gospodarza. Niestety u nas inaczej! Chłop musi w karczmie siedzieć. Drugą czytelną w Łącku założyło Towarzystwo Szkoły Ludowej. Obejmuje ona przeszło 300 dzieł, treści powieściowe, popularno - naukowej. Liczba czytających dochodzi do 100, a ilość dzieł przeczytanych do 1000 w ciągu roku. Z czytelną przeważnie korzysta młodzież szkolna, mniej starsi.

Trzecia czytelnia w Maszkowicach, założona przez Krakowskie Towarzystwo Oświaty Ludowej w r. 1890. Zawiaduje nią gospodarz Pasiud. Ma ona 244 dzieł, w czterech działach, korzysta z niej 30 osób, ilość przeczytanych książek w ciągu roku dochodzi do 300. Większym popytem, niż książki, cieszą się u starszych przeróżne gazetki ludowe. Do uświadczenia narodowego ludu, przyczyniają się odczyty. Wygłaszane przez członków T.S.L. i teatr amatorski w Łącku, prowadzony przez miejscowego poczmistrza. Ale teatr nie cieszy się zbyt częstą frekwencją ludu dla braku przykładu i zachęty z góry. Do najbardziej zasłużonych działaczy, na polu uświadczenia narodowego ludu, zaliczyć należy p.dr. Chwaliboga.

Musimy wspomnieć jeszcze o szkole w Maszkowicach. Założona w 1902 r. mieści się częścią w budynku gminnym, niegdyś mieszkaniu gromadzkiego pasterza, pod górą zamkową, częścią w izbie, wynajmowanej co roku u któregoś z gospodarzy. Do szkoły uczęszcza około 130 dzieci, płci obojga.

Nauki udziela p. Adam Strugała z żoną, pracę mają nie lada, gdyż dzieci tutejsze, są umysłowo bardzo słabo rozwinięte, z powodu, że rodzice lubią zaglądać do kwaterek. Wielkim przyjacielem szkoły jest Jan Faron, długoletni wójt, z młodszych zaś, Wojciech Pasiud. Gdyby bogate Maszkowice były wsią ruską, miałyby już dawno murowaną, piętrową szkołę. U nas o takich drobnostkach, jak szkoła, nie ma kto myśleć.

Z przedstawionego stanu, pojmiesz czytelniku, że z tego uroczego zakątka Zyndrama, wyszło wielu ludzi w świat, że dawniej lud kochał tu swe dzieci i kształcił je. Wśród ciężkich warunków, dawał chłop, nie jednego, ale wszystkich synów do szkół i gdy ówczesne gimnazjum w Nowym Sączu liczyło do 350 uczniów, to w tej liczbie najmniej 40 było z parafii łąckiej. To też lud nie znał co pijaństwo, bo grosz musiał obracać na szkoły dla dzieci.

Dziś w Nowym Sączu są dwa gimnazja, w nich do 1,500 studentów, wobec tego z parafii łąckiej winno uczęszczać do szkół średnich, na 11000 mieszkańców, przynajmniej 80 uczniów, tymczasem, nie naliczylibyśmy ich ani 20. Smutne to bardzo, że syn chłopca, wybiwszy się na stanowisko, ma o wiele mniej serca dla ludu, niż szlachcic. A ty polski chłopie nie czekaj, aż cię kto namówi dać syna do szkoły, daj go bez namowy, z własnej woli, dawaj wszystkich synów.

Dziś wszędzie brak ludzi; w urzędach, w rzemiośle, przy żandarmeryi, przy straży skarbowej itp., znajdzie twój syn lepsze utrzymanie niż w Ameryce, przeto nie żałuj mu nauki, jak jej nie żałują Żydzi i Rusini swym dzieciom. Dziś wszystkie ludy zbroją się w oświatę, wy drodzy rodacy nie pozostajcie w tyle.

Kilka rysów z życia śp. ks. Tomasza Pociłowskiego, proboszcza w Łącku



*ks. Tomasz Korab
Pociłowski*

Śp. ks. Tomasz Korab Pociłowski urodził się w 1819 r. w Kleczy, pow. Wadowice, z rodziców Jana Kantego i Anny z Kowalewskich. Ojciec śp. ks. Tomasza pełnił podówczas, przez lat kilka, w powiecie wadowickim, po różnych tamże dominacjach, funkcje polityczne. Tknięty paraliżem, stał się niezdolnym do służby, a wskutek choroby zubożawszy, był przez kilka lat na utrzymaniu brata swego, Wincentego Pociłowskiego, ówczesnego Justycyaryusza. W roku 1830, przyszedłszy do zdrowia, wydal się z Galicyi i udał się na Litwę, gdzie przy pomocy, znajdujące się tamże rodziny, spodziewał się znaleźć jakie zajęcie. Tymczasem na odgłos walk o wolność ojczyzny, zaciągnął się w szeregi powstańców i w jednej z utarczek, wzięty do niewoli, zesłany na Sybir, przykuty do tacek, wraz z innymi towarzyszami, ciężką znosił dolę, w zimnych i ciemnych lochach Syberii, dokonał żywota swego. Wychowaniem i wykształceniem, pozostałych czterech synów jego, z których śp. Tomasz był najmłodszym, zajął się stryj ich Wincenty Pociłowski. Śp. ks. Tomasz uczęszczał do szkół normalnych w Tarnowie, a do gimnazjum w Podolińcu. Po ukończeniu filozofii w kolegium OO. Jezuitów w Tarnopolu, czując powołanie do stanu duchownego, wstąpił do Seminarium kleryków w Tarnowie, gdzie po chlubnie ukończonych studiach teologicznych, wyświęcony został na kapłana, przez ks. biskupa Wojtarowicza, w dniu 24 października 1844 roku.

Biskupa Wojtarowicza usunął rząd austrijski, w porozumieniu z papieżem, za to, że zakazał udzielać rozgrzeszenia, uczestnikom pamiętnej rzezi 1846 r.

Następnie przeznaczony na posadę wikarego w Mikłuszowicach, Wojniczu i Ryglicach, całym sercem i zapalem młodzieńczej duszy oddał się pracy duszpasterskiej, budując wszystkich nie tylko swoim, przykładnym życiem, pracą i gorliwością o zbawienie dusz, lecz także szczególniejszą miłością i opieką, jaką otaczał chorych i biednych. Czytamy bowiem w świadectwie, jakie mu wystawił, przy opuszczeniu parafii w Mikłuszowicach, jego ówczesny proboszcz, honorowy kanonik kapituły tarnowskiej ks. Jan Zamierowski, z daty 1.IX.1847 r. L:139, między wielu innymi pochwałami i tę: W czasie epidemii i głodu, wyszukiwał po wsiach ubogie lub pozbawione rodziców dzieci, blęknące się w czasie zimy, nagie lub obdarte, ginące z głodu lub zimna, zgromadzał do jednego domu i przez 4 miesiące, to jest luty, marzec, kwiecień i maj 1847 r. swoim własnym kosztem i uźrebrany przez siebie u bogatszych, chlebem karmił je i przyodziewał i w ten sposób 40 dzieci od niechybnej śmierci uratował.

Będąc wikarym w Wojniczu, równą odznaczał się gorliwością i tu równą miłością i opieką otaczał dziatki zaniedbane, ucząc je sam czytać i pisać i zakładając w parafii 3 szkoły parafialne. Podobnie i w Ryglicach musiał się ks. Tomasz odznaczać tymi samymi przymiotami. Pomimo gorącej miłości, jaką młodzieńcze serce jego pałało dla tego biednego, ciemnego i zbałamuconego podówczas ludu, padł on ofiarą strasznej rabacji, jaka w 1848 r. w tarnowskim i okolicznych powiatach szalała. Skrępowany bowiem przez chłopów powrozami, wraz z p. Dominikiem Dąbskim i innymi panami, wrzuceni na wóz drabiniasty, odstawieni zostali do "cyrkułu" w Bochni. Na jednym z popasów, pewna baba, kijem nad nimi wywijając i bezbronnych obić zamierzała. Tę samą kobietę, w jakiś czas, kiedy wybuchł tyfus głodowy,

ks. Pociłowski na śmieć dysponował i widział własne jej dziecię upieczone, które ona, przyciśniona głodem, spożywała.

W cztery lata po onej strasznej rabacji, tj. w r. 1850 otrzymał ks. Pociłowski prezentę na probostwo w Brzozowej. Można sobie wyobrazić, jakie tu wówczas panowały stosunki! I w jakich warunkach rozpoczął pasterzowanie swoje ks. Pociłowski! Kościół i lud zupełnie zaniedbany, serca w większej części, zatwardziałe, ręce jeszcze nie obeschły z bratniej krwi, niewinnie przelanej! Ale młody i sprężysty ks. Tomasz wziął się rychło, po swojemu, do dzieła. W krótkim czasie wypenił tę winnicę Pańską z chwastów i kąkol, gorącymi kazaniami swemi i naukami, pobudził lud do pokuty za popełnione zbrodnie i umoralnił. Kościół odnowił i odmalował, wiele aparatów kościelnych częścią odnowił, częścią własnym kosztem sprawił, dom mieszkalny i budynki gospodarcze, całkowicie odrestaurował, prawo poboru drzewa i inne emolumenta, należące się probostwu, a uważane już od 20 lat, za przepadłe, odzyskał jak zaś za swoją pracę, gorliwość i czułe serce dla parafian, był przez nich w ciągu 18 letniego swego pobytu w Brzozowej, kochanym i szanowanym i czczonym, niech świadczą o tem ich łzy, z jakimi go żegnali, odjeżdżającego w r. 1868 do parafii łąckiej. Teraz smucili się i łzy wylewali po odjeździe swego proboszcza parafianie Brzozowscy, bo stracili w nim najlepszego pasterza swego, ukochanego ojca i dobrodzieja, ale za to prawdziwym dniem wesela i radości, był przyjazd i objęcie parafii przez księdza Pociłowskiego, dla parafian łąckich!

I ta parafia, położona w ślicznej, nad Dunajcem okolicy, nie była wolna od chwastów i kąkol. Co prawda, echa dzikiej rabacji, nie znalazły tu posłuchu i górale tutejsi nie splamili rąk swoich przelewem krwi bratniej, owszem z oburzeniem, jak słyszeliśmy z ust naszych ojców i matek, przyjmowali wiadomości, nadchodzące z tarnowskiego i okolicznych powiatów, natomiast inny robak toczył tutejszych parafian, tj. pijaństwo i nieodstępna jego rozpusta. Przeciwko więc tym głównym wadom, wystąpił z całym zapalem kapłańskiego serca i szczytnego powołania swego. Po dwakroć sprowadzał do Łacka Misjonarzy, sławni podówczas kaznodzieje ludowi, jak ks. Ciszek, ks. Baczyński, ks. Dąbrowski z T.J. i 00.

Redemptoryści z Mościsk, głosili niezmordowanie Słowo Boże, a lud się kruszył, spowiadał, wyrzekał pijaństwa! Wkrótce też parafia zmieniła się nie do poznania. Lud zaczął więcej pilnować roli aniżeli karczmy, to też podniósł się materyalnie.

Pomyślał też ks. Pociłowski i o starożytnej świątyni łąckiej. Odszarował ją zewnątrz, dach i wieżę pokrył blachą, cmentarz kościelny otoczył wysokim murem, w którym umieścił 14 stacyj drogi krzyżowej, odnowił go też i na wewnątrz, o ile na to fundusze starczyły, restaurował organ i dodał parę głosów, sprawił 3 harmonijne i duże dzwony, wiele aparatów kościelnych, częścią odnowił, częścią nowe posprawał, Budynki gospodarcze i dom mieszkalny, również do porządku przyprowadził. Ale praca jego nie kończyła się tylko w kościele. On szedł w lud, aby poznać bliżej jego potrzeby, jego bole i wady i udzielić skutecznego lekarstwa. Szczególniejszą opieką otaczał biednych i chorych. Jego czułe serce nie mogło patrzeć obojętnie na nędzę ludzką, to też ubodzy mieli w nim prawdziwego ojca, a chorzy lekarza. Ileż to razy z jego kuchni, biedni chorzy otrzymywali rosół, mięso lub mleko! Ileż to razy chorym sam aplikował okłady, kąpiele, zawijania w koce, bo trzeba wiedzieć, że ks. Pociłowski, tak jak ks. Kneipp, był wielkim zwolennikiem leczenia wodą, wiele też ludzi, tak ze sfer niższych, jako też i wyższych, tej jego metodzie leczenia zawdzięczają swoje uzdrowienie, nieraz z uporczywej i długoletniej choroby.

A kiedy w r. 1873 wybuchła straszna epidemia cholery, kiedy na widok tylu wypadków śmierci, powstawała ogólna panika między ludem, ks. Pociłowski okazał się wówczas prawdziwym lekarzem ciała i duszy. Dniem i nocą, z narażeniem własnego życia i zdrowia, uwijał się po parafii, zaopatrywał św. sakramentami, własnoręcznie nacierał chorych w czasie kurczów, dawał lekarstwa, grzebał umarłych i pocieszał strapionych, po stracie drogich osób.

To poświęcenie się ks. Pociłowskiego w czasie cholery, pamiętają dobrze do dzisiejszego dnia, wszyscy jego, żyjący parafianie. Uznało też to poświęcenie się i gorliwość ks. Pociłowskiego i c.k. Namiestnictwo, bo na ręce c.k. Starosty w Nowym Sączu takie nadeszło pismo dziękczynne:

Jego Excellencya, Pan CK. Namiestnik, wysokim reskryptem, z dnia 18 b.m. L: 6745 Pr. polecił mi, abym w jego imieniu wyraził ks. Kanonikowi uznanie, za poświęcenie, gorliwość i sprężystość, jakie okazałeś, jako komisarz choleryczny, podczas panowania cholery w powiecie Nowo Sąddeckim, wywiązując się zaszczytnie, z narażeniem własnego zdrowia i życia z trudnego zadania, którego dla dobra kraju chętnie się podjąłeś. Wykonując z przyjemnością niniejszem to wysokie polecenie, ja z mojej strony, wyrażam Wielebnemu ks. Kanonikowi, moje osobiste podziękowanie, za gotowość, z którą na pierwsze moje wezwanie, prawdziwie po obywatelsku, w ciężkiej dla powiatu chwili, ofiarowałeś Swoje usługi, aby odwrócić i uśmierzyć, grożącą powszechności tutejszej, klęskę. Proszę przyjąć itd.

Kurowski c.k. Starosta. Nowy Sącz d. 29.IX.1873 L: 9404.

I władza duchowna, w uznaniu zasług, jakie ks. Pociłowski położył, tak dla kościoła, jako też i społeczeństwa, oraz dla jego osobistych zalet, zamianowała go, najpierw dziekanem łąckim, a pismem z dn. 24.X.1877 r. L; 332, odznaczyła go przywilejem noszenia Rochetty i Mantolety wraz z pierścieniem. Nic też dziwnego, że i parafianie, patrząc na te zalety umysłu i serca swego proboszcza, całym sercem ukochali go i przyłgnęli do niego, piękna też i harmonia panowała wówczas między Pasterzem a owieczkami. Z całym zaufaniem spieszyli do niego, już to, by zasięgnąć rady w ważnych sprawach, już to uzalić się w niedoli, a on każdego chętnie przyjął, wysłuchał, poradził i pocieszył. A kiedy przyszły Święta Bożego Narodzenia lub Wielkanocne, poważniejsi gospodarze, spieszyli na probostwo, by swemu proboszczowi wynurzyć swoje życzenia, a On z wszystkimi łąmał się opłatkiem, lub dzielił święconym jajem i gościnnie podejmował.

Szczególniejszego przyjaciela i opiekuna miała w nim, ucząca się, młodzież. Jeżdżąc po szkołach widząc u chłopców wybitniejsze talenta, przedstawiał i zachęcał rodziców, by ich do wyższych szkół posyłali i niejednemu uczniowi sam materyalnie dopomógł do ukończenia szkół. A kiedy ta młodzież zjechała na Święta, lub na wakacje, cieszył się nią, chętnie się nią otaczał, robił z nią wycieczki w góry, zapraszał do siebie, zachęcał do miłości Boga i ojczyzny, do walki z życiem, słowem urabiał w niej szlachetne charaktery. Lubiła go też i kochała ta młodzież, jak własnego ojca. To też nigdy przedtem nie wyszło z ludu łąckiego tylu księży, prawników, profesorów, doktorów medycyny i na innych znajdujących się stanowiskach, jak za pasterzowania ks. Pociłowskiego.

Znaną też była szeroko w kraju, prawdziwie staropolska gościnność ks. Pociłowskiego. Tu, na probostwie w Łącku, znaleźli przytułek i gościnę, przezacni kapłani, emigranci z Królestwa Polskiego, jak śp. ks. Wawrzyniec Centt 3 , śp. ks. Seweryn Paszowski, późniejszy kapelan domowy u śp. Andrzeja hr. Potockiego w Krzeszowicach i, żyjący do dziś, ks. Rafał Boryczewski. Tu, aby odetchnąć świeżym powietrzem górskim i użyć kąpieli dunajcowych, przybywali męczennicy za wiarę i ojczyznę, śp. arcybiskup wileński Krasiński, ks. abp Hryniewiecki.

Tu po żmudnej pracy szukali odpoczynku i pokrzepienia sił przez hydropatyą 00. Jezuici, jak śp. Ks. Załęski, ks. Długolecki, ks. Bratkowski, ks. Myciejski, ks. Hołubowicz i inni. Tu też przepędzał wakacje twórca "Chorału": śp. Kornel Ujejski, który był serdecznym przyjacielem ks. Pociłowskiego i jego obrał sobie za spowiednika, przewodnika duszy. O tej szczerzej przyjaźni, jaką żywił Kornel Ujejski do ks. Pociłowskiego, świadczy wiele pisanych, a znajdujących się w rękach rodziny, serdecznych listów, świadczy wysłany przez niego telegram, w dniu 50 letniej rocznicy kapłaństwa, tej treści: "Gorliwemu kapłanowi, dobremu

Polakowi, mojemu od wielu lat przyjacielowi, posyłam w dniu Jego 50 letniego jubileuszu kapłańskiego, życzenia najdłuższego życia, przy trwałem zdrowiu. Kornel Ujejski." Widywaliśmy tu, wybitne osobistości, tak z kraju, jak i z zagranicy, które w przejeździe do Szczawnicy, wstępowały na probostwo, aby odwiedzić i złożyć uszanowanie czcigodnemu kapłanowi, jak: Marszałka Kraju Zyblikiewicza, księstwa Sapiechów z Krasieczyna, prezesa Akademii Umiejętności Majera i wielu innych.

O gościnności ks. Pociłowskiego niech poświadczą następujący, autentyczny fakt: Pewnego razu, w porze obiadowej, zajęchało na probostwo kilka powozów. Przyjechała do Szczawnicy z Warszawy, jakaś pani Ordynatowa, staruszka z rodziną i nadwornym doktorem, razem 12 osób. Ponieważ w Łącku była tylko żydowska restauracja, a ta pani nie mogła nic u Żydów jeść, więc poprosiła ks. proboszcza o gościnę i obiad.. Ksiądz Pociłowski w tej chwili kazał, już przygotowany dla domowników obiad, dać gościom, a domownicy musieli się zadowolić kartoflami z kwaśnym mlekiem. Wiekiem i pracą nadwątłone siły, poczęły coraz bardziej opuszczać ks. Pociłowskiego, to też przy końcu życia, już prawie nie wychodził z pokoju, ale mszę św. odprawiał w kaplicy, przerobionej z pokoju.

A kiedy na wiosnę w r. 1898 zaświeciło słońeczko wiosenne, chciał się trochę przejść po ogrodzie, przeziębivszy się, dostał zapalenia płuc i po kilku dniach, ciężkiej choroby zasnął w Panu dnia 6 kwietnia 1898 r. A kiedy dzwony, z wieży kościelnej, zwiastowały parafii tę żalosalną nowinę, że ich Proboszcz nie żyje, powstał ogólny płacz i żal w parafii, a pogrzeb jego był jedną, wielką manifestacją żalobną!

Nawet Żydzi, stojąc z daleka, rzewne łzy wylewali. Zarzucają mu, wyznawcy złotego cielca, że będąc tak długo na bogatej parafii, nie pozostawił majątku.

My raczej poczytujemy mu to za zasługę, gdyż lud miał w nim piękny przykład, że jednostki, nie tylko o własnym swem powodzeniu pamiętać, lecz pracą i majątkiem, do ogólnego dobra, przyczyniać się winny. A ci z nas, którzy dotąd pozostają przy życiu, składają mu niniejszem hołd i podziękowanie, za jego ojcowską opiekę, pomoc, zachętę w dalszym kształceniu się, dzięki czemu osiągnęli swe stanowiska.

Piękna, marmurowa tablica, jaką wychowanek zmarłego, ks. dziekan Jan Zagorzyński, w kościele łąckim, wmurować kazał, niech świadczy, że żył tu wzorowy kapłan, Polak i Obywatel.



Kilka słów o ludzie tych stron

Opisawszy po krótkce rodzinne strony Zyndrama i dzieje tego zakątka naszej Rzeczypospolitej, poświęcamy na zakończenie, choć parę słów ludowi tutejszemu, jako dziedzicowi tej ziemi.

Zakątek ten, należący w zamierzchłych czasach do Chrobacyi, zamieszkiwał lud odważny i waleczny, jednak usposobienia łagodnego i w obejściu nader uprzejmy. Rosły jak jodła, silny jak dąb, niezbyt białej cery, o włosach płowych. Mową i zwyczajami, nie różnił się wiele od innych plemion, osiadłych od wieków na ziemiach polskich. Mieszkaniem jego były chaty, sporządzone z kijów wbitych w ziemię, lub wydrążenia w skałach, jakie gdzieś gdzie przechowały się do naszych czasów.

Głównym zajęciem jego było pasterstwo, w szczególności hodowla bydła i owiec, wypasanych na łąkach i polanach, jakich wówczas była wielka obfitość. Obok tego, zajmował się też uprawą roli, głównie na wyrębie lasu, zwanym "wyróbiskiem": Ziemię orał sochą lub kopał motyką. Obok tego lasy dostarczały mu dziczyzny, Dunajec - ryb smacznych, polany górskie - ziół leczniczych. Naczyn używał prostych, palonych z gliny, lub wyrabianych z drzewa. Zmarłych palono na stosach, a ich popioły składano w naczynia, zwane urnami, albo popielicami i grzebano, bądź w pojedynczych mogiłach, bądź na wspólnym, cmentarnem uroczysku.

I wiara ich była taka, jak innych ludów słowiańskich. Czčili jednego, najwyższego boga, Światowida, wielką ilość bóstw podrzędnych i boginek, których nazwy przechowały się dotąd w ustach ludu. Świątynie bóstwu stawiali na wzgórzach, wśród lasów w pobliżu źródeł. Służbę ofiarną spełniali kapłani i kapłanki, Z czasem zawitało i tu chrześcijaństwo, pierwotnie obrządku wschodniego. Powstały liczne cerkwie drewniane, a podania o nich krążą do dzisiaj. Gdy Mieczysław I, a z nim cała Polska, przyjęła obrządek łaciński, wyparto stąd powoli obrządek wschodni.

Lud tutejszy przybył w te strony, prawdopodobnie z za Dunaju. Świadczy o tem nazwa rzeki, którą na pamiątkę swej dawnej rzeki, nazwał zdrobniale Dunajcem, świadczą rozliczne śpiewki o Dunaju, żyjące w ustach ludu, jak np.

Dunaju, Dunaju, zimna woda w tobie
Od kraju do kraju, gadają o tobie
Stare gąski na poduszki, a młode na Dunaj.

Przybycie nastąpiło prawdopodobnie w czasach najazdu Hunów i późniejszych Awarów, przed którymi lud uciekał, szukając schronisk w górach i lasach. Lud tutejszy zachował wiele podobieństwa ze Słowakami, mieszkającymi po drugiej stronie Karpat.

Wiara Rzym.-kat. rozszerzana na Podhalu przez niemiecki zakon Cystersów w Ludzimierzu, zapuściła głęboko korzenie w duszy ludu, natomiast germanizacja, którą niemieccy Cystersi, zarówno z wiarą forsowali, spłynęła po wierzchu. Jako osad mętów germanizacyjnych, pozostały po 00. Cystersach, tylko dość liczne wyrazy pochodzenia niemieckiego, np. juzyna - Jause = podwieczorek, wyryktować - ausrichten = zrobić, sporządzić, wykiwać i wiele innych, używanych dotąd w mowie potocznej. Nowatorstwa religijne, jak husytyzm, luteranizm i arianizm, szerzyły się i tu, jak na innych ziemiach polskich, ale trwale się nie przyjęły, bo nowinkom tym hołdowała głównie szlachta, z powrotem jej do katolicyzmu i chłop poszedł za nią. Miejsce tutejsze, ufortyfikowane już przez samą naturę, nadto strzeżone przez liczne grody warowne, rozsiane po wzgórzach nad Dunajcem, były tem samem nieprzystępne dla licznych zawieruch i najazdów wroga, które w

ciągu wieków, niejednokrotnie przewalały się przez ziemie polskie. Tem się tłumaczy, że lud tutejszy zachował, w nieskażonej prawie czystości, swą gwarę i piękny strój rodzimy.

Strój ten, dawny, składał się, u mężczyzny w lecie z kapelusza pilśniowego, czarnego, ozdobionego szerokim paskiem, nabitym żółtymi guziczkami, zwanymi "cętki": za które strojniś wpychał kogucie pióro, kwiat georginii, wreszcie sklepowy bukiet weselny; starsi, poważniejsi gospodarze, nosili kapelusze jasne, siwe, opasane sznurkiem z kutasikami, coś na kształt kardynalskich. Na koszulę, zapiętą pod szyją spinką metalową, lub związaną wstęgą czerwoną i puszczonej po wierzchu spodni, ubierali starsi szeroki pas skórzany, sięgający pod pachy, z kaletką na fajkę, tytoń i krzesiwo, nabijany mosiężnymi guziczkami, kółkami i sprzączkami, prócz tego, koszulę zapinano na piersiach, dużą tombakową spinką, kształtu rombu, nieraz precyzyjnie rzeźbioną. U spinki tej, palacze wieszali na łańcuszku, również misternie wyrobioną, przetyczkę do fajki. Na to wdziewano jeszcze kamizelkę granatową, wyszywaną czerwoną wełną i mosiężnymi guziczkami.

Młodzi nosili pasy szerokie zaledwie na 4 cm, ale za to długie, nabijane guziczkami, otaczając kilka razy biodra, koniec tego paska spuszczano wolno z lewego boku. Bogaci ubierali buty, biedacy krypte. Wierzchni strój stanowiła sukmana biała z samodziału, u starszych wyszywana na sposób krakowski (patrz na sukmanę Michała Kurzeji), ozdobiona nadto cynowymi guziczkami i żółtymi koluszkami. Młodszy nosił, pięknie wyszywane, gurmanki, kolorem czerwonym i niebieskim, jednak bez ozdób metalowych. Strój zimowy, uzupełniał kożuch biały, niekryty, kroju czamary, u strojnisiów farbowany na czerwono, spodnie z białego sukna, kroju węgierskiego, wyszywane jak sukmana, na głowie czapka, rodzaj kucmy podolskiej, ale niższa, z czarnego baranka.

Nieodzowną częścią stroju, u mężczyzny, była fajka, bez której góral w ogóle nigdzie, a zwłaszcza do kościoła się nie puszczał. Fajki te wyrabiano z drzewa gruszkowego, smukłe, wysokie, politurowane na ciemno pomarańczowy kolor, z przykrywką mosiężną z wieżyczką, osadzone na krótkim, wiśniowym cybuchu, nazywały się "skawickami": zapewne dlatego, że wyrabiano je w Skawach, a kupowano na odpuszcie w Kalwarii Zebrzydowskiej. Starsi, noszący pasy szerokie, przechowywali tytoń (habrykę) w wyprawnym pęcherzu wieprzowym, w głębokiej kalecie pasa; młodszy używali kapciuchów, z wyprawionej skórki króliczej, przyozdobionej w dolnej części, cienkimi rzemykami, do których przywiązana, nieodstępna, a ozdobna przetyczką, metalowe guziki i koluszek. Strój kobiety był także swojski, oryginalny. Koszula biała, bez żadnych ozdób, na szyi, u bogatych korale lub bursztyny, spódnica ciemna, perkalowa, a na niedzielę i święto, krakowski gorset, ozdobnie wyszywany. Kobiety ubierały na głowę czepiec, z białej chustki, której koniec (trok) spadał daleko na plecy. Dziewczęta okrywały głowy chusteczkami kolorowymi. Strój zimowy dla mężatek, to biały, niepokryty, krótki, do pasa serdak, z gęstą falbaną u dołu. Na serdak brała kobieta "rańtuch", tj. długie płótno, wyrabiane na kształt dymki, z falbaną po jednym boku. W te rańtuchy kazały się kobiety przed śmiercią ubierać do trumny.

Młodsze dziewczęta, zamiast serdaczków, nosiły rodzaj dzisiejszej długiej zarzutki, z granatowego sukna, wyszywanej na czerwono i zarzutka ta zwała się sukienka. Tak mężatki, jak i dziewczęta nosiły czarne, buty z miękkimi cholewkami, o wysokich napiętkach, podbijanych podkówkami. Dzisiaj wszystko to uległo wielkiej zmianie, zaginęły kapelusze z cętkami, szerokie góralskie pasy, gurmanki z guzikami. Fajkę skawiecką i nieodstępnego jej towarzysza, kapciucha wyparły papierosy; znikają i spodnie góralskie, węgierskiego kroju, a na ich miejsce wchodzi cienkie, z granatowego sukna. Jednym słowem, miejsce dawnego stroju, tak pięknego i trwałego, zajmuje tańsza może, lecz o wiele brzydsza, zwłaszcza u kobiet, tandyta miejska. Z wyjątkiem stroju, reszta trybu życia, nie ulega tak doraźnej zmianie.

Lud tu jest przemysłowy, zręczny, przebiegły i w wysokim stopniu, posiada zmysł obserwacyjny i umie się prędko oryentować, tak w mowie, jak i w czynie. Z mowy łatwo

poznaje człowieka, ale sam nieprędko wywnętrza się. W mowie jest delikatny, ugrzeczniony, śmiały, w przyrzeczenie skory, lecz w dotrzymaniu tegoż, zmienny, zysku chciwy, w obcowaniu z drugim szczerzy, ale interesowny, łatwo przekupny, uparty w postanowieniach, czasem z własną szkodą, dumny z tego co ma, zimny na cudzą niedolę, a obojętny na nieszczęścia drugich, sam w nieszczęściu nie upada, w pracy wytrwały, w zabawie wesół i ochoczy, lubi śpiew, muzykę, lubi tany. Wesela, chrzciny, imieniny odprawia huczno i wystawnie, bo góralowi o rozgłos chodzi. Łatwo się zapija, a prędzej się wytrzeźwia, nie gardzi też cudzą własnością. Siódme przykazanie boskie jest mało przestrzegane, u wielu wcale nie znane. Góral jest pojętny, wyucza się łatwo różnych rzemiosł i umie je zastosować u siebie. Kobiety umieją szyć ręcznie i na maszynie, dziergać i haftować. Góral jest dobrym myśliwcem. Polowanie rzadko który wydzierżawia, karty na broń nie kupuje, ale dziczyznę często zajada.

Wychowaniem dzieci zajmuje się o tyle, o ile chce je mieć przygotowane i uzdolnione do pracy gospodarskiej i posług domowych. Do szkoły posyła, by przymusowi szkolnemu, zadość uczynić. Chodzi mu jedynie o przyswojenie dziecku sztuki pisania i czytania. Wiadomości książkowe nie są potrzebne każdemu dziecku, bo nie wszystkie będą księżmi, ani adukatami (adwokatami). Ten brak poszanowania cudzej własności i mały pochop do nauk, stanowią ujemny rys tego ludu. Podnieść tu należy i to, że mimo dużego popędu do strojenia się, mało zważa na czystość, Nikt by nie uwierzył, że bogata gosposia, ubrana do kościoła w jedwabne chusty, w domu nie ma niezbędnej, koniecznej ścierki, pamiętaj więc o tem gościu, gdy taka gosposia poda ci łyżeczkę do kawy, lub nóż do chleba, że oczyściła je swoją, brudną koszulą, zwilżywszy nóż lub łyżkę śliną, zamiast wodą.

Zechciej że raz zrozumieć ludku, że czystość i schludność, to pierwsze i najważniejsze przykazanie elegancyi. Na schludność pamiętajcie gosposie więcej, niż na stroje. Wolny czas od pracy obraca góral także na czytanie, chętniej na grę w karty, najwięcej na pogwarę, którą lubi, bo w niej się nabaj a do syta.

Mowa ich jest twarda, jak ich życie, zwięzła, dobitna i obrazowa. Mówi: póde, bede, bedemy, posiada wiele nazw, nieznanych w innych okolicach i w mowie książkowej, które widocznie, z dawnych czasów, w ustach jego się zachowały, Np. Groń (pagórek), Gronik (pagóreczek), koślawa (błoto), młaka (rzadkie błoto), chodak (chłopiec), dziopa, dziopina (dziewczyna), kosina (koszyk), tyżnie (tygodnie), hawok, tutok, (tu), z tela, z haftela (z stąd). Za temat do pogadanki, bierze wypadki z codziennego życia, zdarzenia z przeszłości w rodzinie lub na wsi zaszłe, lubi legendy, baśnie, ciekawe zagadki, opowieści, podania. Jeden opowiada, inni słuchają, lub kolejno opowiadają. Wtedy panuje nastrój poważny, czasem wymknie się słowo podziwu, niedowierzania lub zapytania. Starcom lub ludziom uczonym, dają zawsze pierwszeństwo.

Podania u ludu, można podzielić na religijne i historyczne; pierwszych jest wiele, drugich daleko mniej. Jedne przechowały się w ustach ludu, sposobem tradycyjnym, drugie są wytworem bujnej ich wyobraźni i fantazji, nacechowanie nieraz niedorzeczności. Więc mówi o wielkoludach, o Salomonie, o Sabie i jej prorocत्वach, o Panu Jezusie i o św. Kindze.

"Ludzie byli tak wielcy, iż z jednej góry na drugą, ręce sobie podawali, lub lasy, jak konopie rwali, lub wypijali rzeki do dna": Opowiadania stroją w szatę epiczną. Prawią też chętnie o dawnych rozbójnikach, podziwiając ich siłę, wytrzymałość, zręczność, chytrość i przebiegliwość i zimną obojętność na widok mordowanych ofiar. Baśnie o zaklętej królownie, o zakopanych skarbach, które tylko czarnoksiężniki odkryć mogą, o topielicach pięknych, gubiących ludzi im ufających, o strzygoniach, bładzących nocą po górach, lasach itd.

Zabobon i czarownice żyją tu szczególnie. Od nich zawisła dojność krów, od nich - utrata mleka. Góral nie szuka przyczyny w naturze, w przypadkach zaśląbnienia bydłęcia, ale zmianę podoju kładzie na przychylności lub złości czarownicy.. Z wiary w gusła i w zabobon, chyba tylko postęp oświaty wyleczy kiedyś lud górski.

W czasie wesel, które ochoczo, przy dobrym trunku i smacznej przekąsce i tańcu żywym, szybko mijają, lud, ku większej rozrywce, szczególnie starsi, lubują się w zagadkach, dla zainteresowania siedzących wokoło stołu, np.

"Idzie bez las, nie suśnie, idzie bez wodę, nie pluśnie?"

albo inna: Co po świętych w kościele?": albo

"Jak daleko leci zając do lasu?"

"Ojciec się rodzi, syn po dachu chodzi?"

"W lesie ucięte, w domu ugięte, u koni bywało, do kobiet chadzało?"

I bardzo wiele innych, których tu, jak grzybów po ciepłym deszczu, wiele. Wesela urozmaica także śpiewem i śpiewkami, których ma wiele do każdej okazji. Jak całe życie tutejszego chłopca było obliczone na przepych i blask zewnętrzny, tak też troszczy się o to, "by go nie było jak chowali": Dlatego zapisuje na pogrzeb i "za swą duszę" znaczniejsze kwoty i chciałby mieć pogrzeb jak "najparadniejszy": ale o tem, że pozostawia liczne, drobne dzieci, którym nie dał, ani wykształcenia szkolnego, ani rzemiosła, w ogóle sposobu do życia, - pamiętać nie chce. Jak dotąd widzieliśmy lud ten przy zabawie i uroczystościach. Zobaczmy, jak się zachowuje w pracy? Na pochwałę jego, przyznać trzeba, że i do pracy, jak i do zabawy jest ochoczy i na trudy bardzo wytrwały. Do roboty w pole wychodzi przed wschodem słońca i wraca do domu późno wieczór, a czasie pilnych zbiorów, pracuje na polu i w nocy, do księżycy. Warto by próżniaków wschodnio galicyjskich, wychodzących w pole o 10 rano, zaprowadzić w nasze strony, niechby zobaczyli, jak się do pracy w czas wstaje i późno od niej, na spoczynek wraca.

W żywym inwentarzu gospodarza, koń zajmuje zawsze pierwsze miejsce; o niego dba gospodarz, jak o swe oko w głowie. Koń tu musi być zawsze piękny, dobrze oczyszczony, podkuty - konia powalanego, wstydziliby się gospodarz wypędzić na pastwisko; uprzęż na koniu musi być koniecznie, na sposób krakowski, ozdobiona blaszkami, guzikami i zawsze czysta i schludna. Prawie każdego gospodarza konie, mogą zastąpić wielkopańskie, cugowe - nic dziwnego, że takimi końmi i na porządnym wozie, jedzie tutejszy gazda ze swą gospołą dumny, jak niegdyś brat szlachcic, na obiór króla Jegomości, na Wolę pod Warszawę.

Na polepszenie gospodarstwa, zakupno gruntów, nasion, ulepszonych narzędzi rolniczych itp. grosza nie żałuje i chodzi skrzętnie i zapobiegliwie koło powiększenia majątku.

Nieraz, dla oczyszczenia majątku po rodzicach, porzuca swą żonę i dzieci, idzie aż za morze i tam, pracując ciężko o suchym chlebie, przysyła grosz do domu, na spłatę długów.

Inni pracują w Prusach, lub po okolicznych dworach, bogatsi zarabiają końmi w polu, na tartakach, wreszcie fiakierką.

Mieszkanie lubią obszerne i wygodne, to też budują domy duże i wysokie. Sień wchodowa dzieli dom prawie na dwie, równe części, w jednej izba czeladna, obok alkierza na sypialnię, lub na przyjęcie gościa, przeznaczony - w izbie czeladnej kuchnia z kotłem, na łańcuchu wiszącym, stół i ławy do siedzenia, Często w tej izbie, jeżeli nie ma komina, stoi bydlę.

W drugiej połowie izba duża, gościnna, w niej łóżko ze stosem poduszek, ułożonych jedna na drugiej, coraz mniejsze ku górze. Spiżarnia osobno, w niej skrzynie na zboże i na ubrania kobiece. Domy kryją dachówką lub blachą. Dom z drzewa świerkowego lub jodłowego, na podmurowaniu kamiennem. Stajnie przeważnie z kamienia, spajanego gliną, rzadziej malcią. Podwórze obszerne. Zawiasy, haki, zamki żelazne, klamki u drzwi wchodowych mosiężne. Przed domem, pod ścianą frontową, ława długa do siedzenia dla domowników po pracy lub pogwarki świątecznej. W izbie gościnnej stołki trzcinowe, stół malowany, ceratą kryty, szafy na ubranie, szafa wmurowana w ścianę na naczynia stołowe,

jak szklanki, spodki, talerze i piękniejsze miski, na ścianie zegar, obrazy, widoki i fotografie w ramach oprawne,

Dzięki swej inteligencji i dużej pomysłowości, spostrzegł lud tutejszy korzyści płynące z postępowego prowadzenia gospodarstwa, nie trzyma się też dawnej rutyny, lecz chętnie wprowadza ulepszone sposoby uprawy roli, o ile tylko miał sposobność z niemi się zapoznać. To też maszyny rolnicze, nawozy sztuczne nie są tu już rzadkością, mimo wszystko naszemu chłopu jeszcze daleko do tego postępu, jaki panuje w innych krajach np. w Czechach, Morawii, Śląsku.

Sadownictwo kwitnie tu od dawna. Okolice tutejsza głośniejsza jest ze śliwek węgierskich. I gdy lata sprzyjają, setki korców śliwek, bądź świeżych, bądź suszonych, rozchodzi się stąd dalekie strony, oprócz tych, które w miejscu idą na wyrób śliwowicy. Całe gospodarstwa, pagórki, drogi, brzegi rzek otulone są śliwiną. Nie wymaga ona wielkiego pielęgnowania, a sama się rozmnaża. Śliwki, pod względem dobroci i jakości, nie ustępują bośniackim i węgierskim, a pod względem smaku, nawet je przewyższają. Domostwa tu ledwie swymi kominami wyglądają z gąszczy drzew owocowych. Spotkasz tu drzewa starej daty, rodzące owoce podlejsze, ale i piękne odmiany renet, papierówek, hakwil, oliwek, różanek wirgińskich, grafsztynek, naj liczniej zaś występują dwie odmiany sztetyn, które tu obywatelstwo uzyskały. Z grusz, wyradzające się już witarianie, kilka odmian ber, gdzieniegdzie ukazująca się plebanka i wiele innych, drobniejszych, na pół dzikich. Na polu sadownictwa widać tu wielki postęp.

Obecnie, nie wystarczają ogrody obok domostwa zaprowadzone, lecz pola w pobliżu zamieniają się powoli w sady. I gdy na tem polu, praca tem tempem pójdzie dalej, cała okolica przedstawi się, w niedalekiej przyszłości, jak jeden ogromny sad. Lud tu przejrzał i przekonany, iż sad więcej zysku przynosi, niż orne pole, chwycił się tej gałęzi przemysłu. Zasługi na tem polu położyło kilku obywateli, przez założenie ogrodów i szkoła w Łącku, która w tym kierunku niezmordowanie pracuje, Działka najstarsza, tj. klasy I w godzinach nadobowiazkowych uczy się sadownictwa teoretycznie, a skoro tylko nastanie pora sprzyjająca, pracuje w ogrodzie. Tam, nie tylko zaprawia się praktycznie, nabierając wprawy, ale nabiera i zamiłowania. To też pan dyrektor Wilkowicz stara się, by ogród szkolny zawierał wszystko, ale zarazem ład i piękno. Działka chętnie spieszy i pracuje ochoczo, widząc obok siebie zawsze pracującego, swego nauczyciela. I gospodarze chętnie nabywają tu szczepki i naukę jak je sadzić i dalej pielęgnować, bo p. dyrektor i w tym względzie nie żałuje trudu. Pana dyrektora dziełem, jest założenie kilkunastu ogrodów w okolicy. Szkoda tylko, że Wydział Rady Powiatowej tak mało dba o podniesienie sadownictwa w swem powiecie. Wszak okolica najpiękniejsza, zakryta górami od wiatrów i silnych mrozów, a mając glebę po temu, aż się o to prosi. Dla podniesienia sadownictwa, również założyło się Towarzystwo z samych nauczycieli, lecz i tu kuleje, nie mając z nikąd pomocy pieniężnej. Aby praca szkoły na tem polu była pewniejszą, należałoby co rychlej, w miejsce kursów rolniczych, o które się starano, założyć kursa ogrodnicze, dla działki, dziś nauki dopełniającej, a zimą, wieczorami, osobne nauki dla starszych gospodarzy, którzy by chętnie na nią uczęszczali. Sadownictwo w tej okolicy podnieść należy, bo ono tylko jedynie dobrobyt wzmoże i ma tu wielką przyszłość.

W chwili, gdy ta książeczka opuszcza drukarnię, czytamy w gazetach:

Grunwaldzki obchód w Łącku

Miasteczko nasze, położone w przepięknej górskiej okolicy, nad Dunajcem, obchodziło dnia 3 lipca 1910 r., przy współudziale dziesięciu gmin, należących do parafii łąckiej, uroczystość ku uczczeniu 500-letniej rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Uroczystość

rozpoczęła się nieszporemami w kościele parafialnym, po których ks. kanonik Piaskowy, zaintonował pieśń "Te Deum Laudamus" i wygłosił okolicznościowe kazanie. Następnie, uczestnicy, uszykowani do pochodu, wysłuchali przemowy p.dr. Chwaliboga, który w krótkich, lecz serdecznych słowach, zachęcał do walki z germanizmem, do walki, tak samo pełnej poświęcenia i brzemiennej w skutki, jaką nasi przodkowie stoczyli z nawałą germanizmu, na polach Grunwaldu.

Pochód otwierała część banderyi, w malowniczych strojach miejscowych, złożona z 80 koni, pod dowództwem dr. H. Chwaliboga. Następnie oddział kosynierów, składający się z 150 ludzi, których prowadził p. J. Kempa, dalej dziatwa szkolna, prowadzona przez nauczycielstwo, muzyka, sokoli, goście przybyli ze Starego i Nowego Sącza, ze Szczawnicy, Krościenka n.D. i innych miejscowości, straż pożarna, reprezentanci Towarzystwa Szkoły Ludowej, Towarzystwa Kasynowego w Łącku, rad gminnych, wreszcie wyznaniowa gmina izraelicka. Pochód zamykała druga część banderyi (80 koni), pod dowództwem włościanina p. Turka z Zagorzyna.

Tak uszykowany pochód, udał się do pobliskiej wsi Maszkowice, na wzgórzu, na którym ongiś stał zamek Zyndrama, dowódcy wszystkich wojsk polskich i hufców kmiecyh w bitwie pod Grunwaldem. - Ku uczczeniu pamięci wielkiego bohatera, osadzono na wzgórzu, zwanem po dziś dzień, "górami Zyndrama": kamień pamiątkowy, na którym wykuto napis: „1410 - 1910 Zyndramowi – ziomkowie”. Nastąpiło odsłonięcie kamienia, poprzedzone mową prof., Ćwikowskiego, który przedstawił znaczenie obchodu, dla uczczenia świetnego zwycięstwa.

Burzą oklasków został przyjęty następny mówca, włościanin z Maszkowic, pan Jan Faron. Przemówił krótko, ale powiedział wiele, bo zaznaczył potęgujące się uczucie miłości ojczyzny u ludu, czego dowodem ten parotysięczny tłum ludu, przybyły ze wszystkich stron naszej parafii, by uczcić pamięć złamania potęgi krzyżackiej i oddać hołd wielkiemu bohaterowi. Z powodu nadchodzącej burzy, odbyło się przedstawienie "Kościuszkę po Racławicach", zamiast na górze Zyndrama, w sali Towarzystwa kasynowego w Łącku, Po przedstawieniu odbyła się zabawa ludowa.

Tą notatką zamykamy naszą pracę. Skromna ona jakością i rozmiarami, lecz trudno, na lepszą nas nie stać. Niech ona będzie dowodem przywiązania i miłości do rodzinnych stron i Ojczyzny, dowodem troski o jej przyszłość. Może kto inny, zasobniejszy w zdolności, potrzebne materiały i wolny czas, znajdzie w tej książeczce podniecie do wydania obszernej i dokładniejszej pracy, o co serdecznie prosimy.

Wam wreszcie, drodzy Rodacy, dziękujemy serdecznie za to, że swym hojnym datkiem, ułatwiście nam wydanie tej książeczki, zaś lud nasz i rodzinne strony, polecamy gorąco Szanownym **Towarzystwom Szkoły Ludowej i Kółek Rolniczych.**

Góralu" czy ci nie żal (Me Bałucki)

Góralu, czy ci nie żal
Odchodzić od stron ojczystych,
Świerkowych lasów i hal
I tych potoków srebrzystych?
Góralu, czy ci nie żal,
Góralu, wracaj do hal!

A góral na góry spoziera
I lży rękawem ociera,
Bo góry porzucić trzeba,
Dla chleba, panie dla chleba.

Góralu, czy ci nie żal...

Góralu, wróć się do hał,
W chatach zostali ojcowie;
Gdy pójdziesz od nich hen w dal
Cóż z nimi będzie, kto powie?

Góralu, czy ci nie żal...

A góral jak dziecko płacze:
Może już ich nie zobaczę;
I starych porzucić trzeba,
Dla chleba, panie, dla chleba.

Góralu, czy ci nie żal...

Góralu, żal mi cię, żal!
I poszedł z grabkami, z kosą,
I poszedł z gór swoich w dal,
W guńce starganej szedł boso.

Góralu, czy ci nie żal...

Lecz zanim liść opadł z drzew,
Powraca góral do chaty,
Na ustach wesoły śpiew,
Trzos w rękach niesie bogaty.

Góralu, czy ci nie żal...



Ź r ó d ł a

a/ Zapiski rodzinne

b/ Tabula Sądu Obwodowego w Nowym Sączu

c/ „Sądeckczyzna i Aryanie Polscy” – Szczęsnego Morawskiego.

d/ Ks. Sygański TJ – „Szlachta Ziemi Sądeckiej w czasie Wazów”

e/ „Krzyżacy” – Henryka Sienkiewicza

Autor pozycji: Antoni Kurzeja

Wersja cyfrowa: Jacek Gałysa